ZŁOTY RÓG
ILUSTROWANY
TYGODNIK
LITERACKI ARTYSTYCZNY I SPOŁECZNY

REDAKCJA i ADMINISTRACJA
WARSZAWA
UL. KRÓLEWSKA 27
TEL. 226-83 i 152-05.

№ 3

WARSZAWA
DNIA 19 STYCZNIA 1913 R.

Nagrody literackie.

Przed dwoma laty ogłosiłem artykuł, w którym przekonywałem nasze społeczeństwo o potrzebie fundacji na wzór „Akademji Francuskiej", instytucji, która byłaby niejako salą tronową polskiego piśmiennictwa, która byłaby zgromadzeniem polskich purpuratów myśli i słowa, która byłaby widomym znakiem powagi naszej literatury.

Ten projekt stworzenia *„Polskiej Akademji"* odjęknął się w naszej prasie kilkoma artykułami wstępnymi, z których wycisnąłem jedną prawdę, a mianowicie tę, że „najpierw trzeba mieć koszulę, a potem dopiero zegarek", czyli mamy pilniejsze potrzeby do zaspokojenia.

Nie powiem, aby mnie ten aforyzm o zegarku i koszuli przekonał. Rozwój ekonomiczny i kulturalny bynajmniej nas nie poucza o takim porządku rzeczy, jak to wbrew prawdzie historycznej i codziennemu doświadczeniu starał się utrzymywać jeden z przeciwników mojego, na wiatry obojętności odpowiednich sfer, rzuconego, projektu. Uważam nawet, iż wręcz przeciwnie: człowiek, który się nie pilnuje zegarka, nigdy nie dojdzie do posiadania własnej koszuli, bo czas to pieniądz, a pieniądz to koszula.

Uważam, że *„Akademja Polska"* odegrałaby równie wybitną rolę w naszej ojczyźnie, jak *„Akademja Francuska"* w ojczyźnie Richelieu'go.

Nie chcę powtarzać argumentów, które przytaczałem w wzmiankowanym artykule o *„Akademji Polskiej"* „Świat" № czerwcowy 1910 r.), powiem tu jeszcze tylko, że w międzyczasie rzucenia mojego projektu i jego nieurzeczywistnienia, powzięto analogiczną myśl,—obecnie realizowaną—w Anglji, w Turcji i w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej.

„Akademja Francuska", założona przez kardynała Richelieu'go pod wpływem literata Boisrobert'a, przechodziła od czasu Ludwika XIII po dzień dzisiejszy różne fazy. Można z niej żartować, można o niej pisać drwiące i słusznie komedje, nie da się przecież zaprzeczyć jej błogosławione oddziaływanie na kulturę kraju. Nawet Chamfort to przyznaje, akademicki nieśmiertelny i w jednej osobie ekademicki renegat.

Ale idźmy dalej.

„Akademja Francuska" rozdaje corocznie mnóstwo nagród. Nagrody te do rozdania składa społeczeństwo francuskie *„Akademji Nieśmiertelnych"* nieustannie. Nagrody te są rozmaitych typów: są procentem wypłacanym co rok, lub co dwa lata, po wieczne czasy istnienia *„Akademji"*, albo też są jednorazowe, są sumą ofarowaną do wręczenia przez *„Akademję Francuską"* za takie lub owakie dzieło —jeden raz. Rok temu np. książę L. Bonaparte ofiarował *Akademji* 15000 franków z warunkiem wypłacania co rok w ciągu lat pięciu 3000 franków za nowe, najlepsze książki z dziedziny krytyki literackiej. I t. p.

U nas nagród literackich jest niezwykle mało i nieomal wszystkie należą do typu jednorazowych, a zawsze dotyczą prac bezwzględnie niedrukowanych, t. j. takich, które pod maską godła ubiegają się o zwycięstwo na konkursie.

Nie ulega wątpliwości, że przyznawanie pracy jakiejś nagrody, czyni tę pracę popu-

larniejszą, sprawia że tą pracą interesuje się szerszy ogół, że praca nagrodzona budzi ciekawość i wywołuje publiczne i prywatne spory, debaty — ruch.

Roku ubiegłego *„Akademja Francuska“* po raz pierwszy nagrodziła „Wielką Nagrodą Literacką“ (*Grand prix de Litterature*) książkę młodego, zgoła nieznanego autora, i tem zaszczytnem wypłaceniem 10000 franków uczyniła odrazu sławnym p. André Lafon'a i jego „opowiadanie“ p. t. *„L'Élève Gilles“*.

Dzięki kulturalnej obywatelskości Erazma Jerzmanowskiego i my wchodzimy z rokiem 1913 w fazę posiadania polskiej Wielkiej Nagrody Literackiej, pięciokrotnie większej od francuskiej, bo wynoszącej 40.000 koron, a mającej być corocznie przyznaną polakowi, „urodzonemu na ziemiach polskich“.



Erazm Jerzmanowski,
fundator „Polskiej nagrody Nobla“.

Już dzisiaj w kołach literackich błąka się pytanie, kto pierwszy otrzyma tę „polską nagrodę Nobla“. Wkrótce zacznie się tem interesować czytająca publiczność i każdy inteligentny człowiek będzie miał na tę nagrodę swego kandydata. A gdy nadejdzie dzień przyznania komuś z utalentowanych tej najwyższej, a więc roznamiętniającej nieco nagrody, wokoło głośno wymienianych nazwisk kandydatów wytworzy się ferment. W sprawie tej będą niewątpliwie na szpaltach swoich organów zabierali głos publicyści, przedstawiciele opinji różnych odłamów naszej inteligencji. A gdy nareszcie padnie nazwisko laureata, publiczność... rozkupi jego książki (lub książkę), bo — nie wypada nie znać dzieła autora, nagrodzonego czterdziestoma tysiącami franków! I są jeszcze ludzie, którzy zapoznają cywilizacyjną siłę pieniędzy!

Zaiste, w interesie zarówno rozwoju literatury, jak rozwoju czytelnictwa, leży przysparzanie nagród za dzieła beletrystyczne. Tylko, sądzę, że powinno się unikać wyznaczania nagród za „najlepszą z prac nadesłanych anonimowo“, a raczej pod pseudonimem. Tego typu konkursy zawsze dawały mierne, jeżeli nie opłakane rezultaty.

Nie mamy *„Akademji Polskiej“*, której moglibyśmy składać na ten cel pieniądze, a to nie posiadanie „polskiej kopuły Mazaziniego“ niewątpliwie jest przyczyną dzisiejszej posuchy nagród literackich w naszej ojczyźnie. Ale choć nie posiadamy jeszcze (powiedziałem: jeszcze) polskiej *„Akademji Nieśmiertelnych“*, nagrody powinniśmy ustanawiać... bez niej.

W. Grubiński.

„A choć nas dola jak paździerz rozprasza...“

I.

Najoryginalniejszy może z młodej generacji naszych artystów, Vlastimil Hoffman przedstawia w jednym ze swoich obrazów, chłopskiego ślepca, który pod opieką skrzydlatego chłopca czy geniusza, wędruje w świat szeroki.

Obraz to dziwnie suggestywny... w myśli naszej zaczynają się rozsnuwać smutne dzieje nieskończonej wędrówki „po ziemi cudzej“ tego Ahaswera narodów, jakim obecnie jest lud polski; niema tak dzikiego i odludnego zakątka świata, któregoby nie dotknęła jego stopa pielgrzymia, niema ciężkiego trudu, któregoby nie dźwignęła jego pracowita ręka.

Szedł lud nasz na obczyznę, jak ten ślepiec Hoffmana, nie znał położenia geograficznego, nie zdawał sobie sprawy ze stosunków gospodarczych społeczeństw, którym ofiarowywał swą pracę, nie znał ich języka ni obyczaju.

Dwie moce jedynie unosił z sobą z ojczyzny: siłę mięśni, która pozwalała mu karczować dziewicze lasy, ponosić nadludzkie nieraz trudy w kopalniach i fabrykach i siłę ducha, która zaklęta w przywiązaniu do wiary praojców i do prastarego piastowskiego obyczaju, wyodrębniała go od obcego otoczenia i nie pozwalała mu się rozpłynąć w cudzem morzu.

Gdy Wł. Tetmajer dał artystyczną wizję unoszącej się nad Chrystusowym żłobkiem „Częstochowskiej“ i garnącej się do Niej braci siermiężnej z pieśnią i ubogimi darami, wyrwał ją wprost z duszy chłopskiej.

Gdzie myślą sięgnąć, gdzie tylko utworzyło się na obczyźnie większe polskie skupienie, tam powstawały katolickie parafje, rosły ze składek ciężko zarobionych groszy, kościoły — po latach dopiero z tej pierwszej fazy uświadomienia, za-

czynała się wyłaniać dalsza duchowa ewolucja; tęsknota zwracała myśl do rodzinnego zagona, budziło się poczucie przynależności do „starego kraju", obywatelskiego względem niego obowiązku.

Nie da się jednak zaprzeczyć że w ciągu ostatnich lat wzmogło się u nas znacznie uspołecznienie w szerokich masach; zapóźniony o lat pięćdziesiąt przynajmniej, w porównaniu z Zachodem „ruch ludowy" coraz głębiej zapuszcza korzenie, — odbija się to także i na naszem wychodźtwie; ewolucja, w kierunku narodowym, następuje u niego szybciej niż ongi. Nawet w najbardziej zacofanym i najłatwiej ulegającym demoralizacji robotniku sezonowym, budzi się chęć przyjrzenia się dobrym wzorom i przyswojenia ich sobie, na pożytek wsi polskiej.

Opieramy to twierdzenie na znacznej liczbie listów przeniknietych tym duchem, które przychodzą z obczyzny od pracowników, różnych typów, do pism ludowych w Królestwie, Galicji i Poznańskiem.

Możemy powiedzieć śmiało, że o doli i niedoli naszego ludu możemy już dziś czerpać informacje z jego własnych ust, bez posługiwania się pośrednikami z inteligencji, że on sam już zaczyna szukać dróg wyjścia z trudnych stosunków u siebie i u obcych.

Najsmutniejsze wieści przychodzą z Niemiec — robotnicy skarżą się na ucisk, na niedotrzymywanie warunków kontraktu, na demoralizację dziewcząt. Jeden radośniejszy głos przychodzi z kolonji robotniczej w Brunświku. Robotnik Jan Klecha, z Królestwa, opisuje uroczystość jaka tam się odbyła, wspomina delegata od związków robotniczych z Berlina a wreszcie opowiada zdarzenie, jakie miał w Hamburgu: „Pyta mi się policjant, jakiej jestem narodowości, polak odpowiadam, — jakto mówi urzędnik, przecież Polski już dawno niema; ja mu na to z całą stanowczością — póki mieć będziem polski obyczaj, mowę i polskie serce — póty będziemy narodem". A potem dodaje jeszcze: „Ale oto bracia, co ja myślę, rozłazimy się po świecie, jako zwyczajna siła robocza i przez to nas nie szanują, mają nas za woły do pociągu — gdybyśmy jednak, my rozproszeni, co czujemy ciężar pracy, złożyli się i założyli sobie szkołę rzemieślniczą i tak już jak Niemcy i Czesi uzdolnieni wyszli w świat, toby nas już nie traktowali jak woły robocze, ale jako umiejętnych robotników. Taka mądrość nasza byłaby dopiero mądrością polską i piastową. Czas już abyśmy sami myśleli, jak naszemu narodowi wyjść na wyższy szczebel, aby Niemcy nie byli naszymi panami i wyzyskiwaczami".

Zrozumieli to już wychodźcy poznańscy i skutecznie bronić się potrafią; organizacje robotnicze w Westfalji budzą podziw swoją sprężystością, rozwojem i narodowym podkładem. Rozpętany jednak hakatyzm ogranicza stowarzyszenia, zamyka kółka sokolskie — znalazła więc tam łatwo posluch agitacja nakłaniająca polskich robotników do przeniesienia się do kopalni i fabryk francuskich w Pas de Calais.

Nawet w pismach warszawskich pojawiły się artykuły wysławiające warunki zarobkowe tamtejsze.

Rozwiewa tę legendę list z kopalni w Barlni do krakowskiej „Pracy".

„Od 1908 r. rozpoczęła się masowa wędrówka naszych z Westfalji do Francji, obiecywano „złote góry", nie wiele jednak dotrzymano — płaca nizka, nie przenosi 8 fr. dziennie, a drożyzna wielka. Prawda i to, że Sokół nie znajduje przeszkód, że jest swoboda pod względem narodowym — na głód jednak to i wolność nie pomoże. Mniejsze uświadomienie zdradza korespondent z Królestwa z Denain w północnej Francji.

„Pytał nas dyrektor", pisze, „czy nie mamy jakiego swojego stowarzyszenia, wstyd nam było odpowiedzieć, że przebywając tu czasowo, jakoś o tem nie pomyśleliśmy".

Zaraz jednak przychodzi mu refleksja: „Warto by jednak było nauczyć się czegoś od francuzów — jak to oni czytają wszyscy, jak handle i sklepy mają w swoich rękach i żyda to u nich ani „poświeci" i jakoś się bez niego obywają".

Nie wszyscy jeszcze, niestety zastanawiać się już nad obcymi stosunkami potrafią, partja młodych 20 letnich chłopców wysłana przez Krak. Tow. emigracyjne do Belgji, wykazała mały stopień społecznego wyrobienia.

Pracując w kopalniach w Ressais i Mariemont znaleźli tam oparcie w doskonałych organizacjach robotniczych—nie umieli jednak z niego skorzystać; wobec solidarnego strajku zachowali się obojętnie, z niechęcią nawet, a zrobili dziecinną burdę upominając się o odpowiedniejsze, w ich mniemaniu, pożywienie.

Pożądanem byłoby bardzo skierowanie nowego czasowego wychodźtwa do krajów o wy-



„Ślepiec" Vlastimila Hoffmana.
(Do artykułu „A choć nas dola jak październierz rozprasza...")



Polscy wychodźcy na Syberji.

sokiej kulturze gospodarczej i społecznej jak: Czechy, Szwecja i Danja. Wieści jakie przychodzą stamtąd nie odzwierciadlają jeszcze dostatecznie cywilizacyjnego wpływu. Słyszymy że w Szwecji gdzie przebywa do 1800 naszych robotników, mieli oni pomoc lekarską, ludzkie obchodzenie, należeli do ubezpieczeń robotniczych. List z Danji mówi przedewszystkiem o wielkiej czystości w domach rolników: „Cóż my chłopi polacy mamy w swojej chacie. Tu ściany zawieszone obrazami, rysunkami dawnych czasów i ludzi... trzebaby wszystko w naszych chatach odnowić po pradziadach i wziąć się do działania, zmienić wszystko i pozostawić dzieciom znak nowego życia i nowej pracy, nowych zwyczajów".

Niezrozumiały jednak język jest dotąd nieprzebytą zaporą dla naszego ludu, do wniknięcia w życie społeczne tych krajów.

W Anglji przebywa także znaczna liczba naszych wychodźców, w Szkocji nawet nazwa „Pole" jest synonimem wytrwałości. W wielkiem morzu londyńskiem wyodrębnili się polacy jako zdolni rzemieślnicy, w przemyśle szklarskim szczególniej, mają swoje zawodowe związki. Jeden z uczestników Tow. polskich robotników w ten sposób określa życie tamtejszej kolonji: „Wychodźtwo nasze do Anglji datuje się od 1831 r. na razie miało charakter polityczny — dziś przekształciło się w zarobkowe; do naszego Towarzystwa należały z początku wszystkie stany, powoli jednak inteligencja się usuwała, pozostali tylko ludzie pracujący fizycznie. Lud polski prowadzi jednak doskonale swój klub w Londynie, przewija się przezeń do 1000 osób rocznie, chociaż stałych członków, samych rzemieślników jest tylko 80. W lokalu jest sala do ćwiczeń sokolskich i do odczytów, szkółka na 40 dzieci.

Na zebraniach panuje tolerancja przekonań, łączą się razem narodowcy i socjaliści, bezwyznaniowcy i chrześcijańscy demokraci.

Zanim opuścimy Europę musimy się jeszcze zatrzymać na najniekorzystniejszym etapie wędrówek polskich — na Syberji.

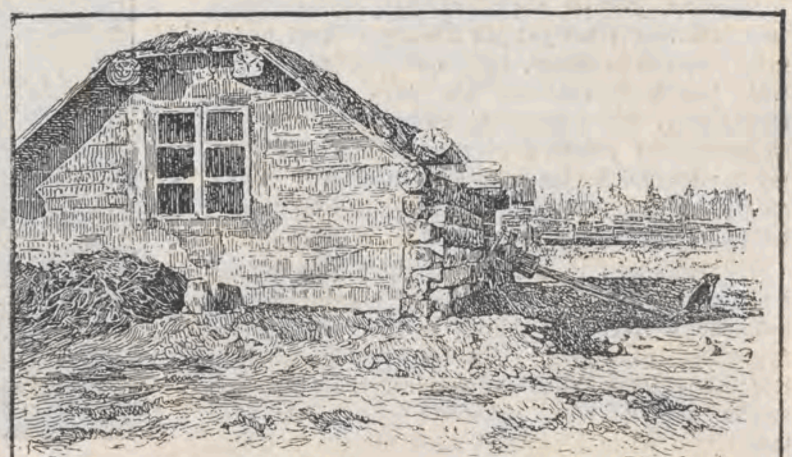
Z groźnego, zesłańczego „Sybiru" niesumienna agitacja uczyniła przynętę dla biedaków, co pragną za ciężko zarobione w kopalniach Zagłębia pieniądze, nabyć kawałek tańszej niż w kraju ziemi.

Jeden z wychodźców robotnik w kopalni pisze z tajgi Jenisejskiej: „Jest nas tu kilku polaków, tęsknimy bardzo, — nie mamy jednak ani jednego pisma z kraju, ani jednej książki. Towarzysz mój gruzin, mówi, że jest u nas bardzo dużo pięknych książek i poezji i że on je zna, wstyd mi było bardzo, żem ja o tem nie wiedział; gdybyż to dostać te pisma od swoich. Gruzinom i Łotyszom to przysyłają, a my się musimy przed nim rumienić".

„Polska wieś syberyjska". pisze też p. Borowiński w nieistniejącym już dziś, dla braku poparcia „Wychodźcy" warszawskim, „otoczona jest wszędzie obcym elementem, oddalona o setki wiorst od wszelkich ognisk kulturalnych, skazaną więc jest na zupełne wynarodowienie.

Już w drugim roku pobytu, wychodźcy nasi mówią jakąś dziwną językową mieszaniną, z domieszką syberyjskiego, burjackiego narzecza.

W większych wsiach złożonych z 40—50 osad mieliby polacy prawo zakładać szkoły, budować kaplice — takich jest jednak tylko dwie w gub. Irkuckiej, reszta to niewielkie kolonje rozrzucone po obszarach, składające się z 10—15 rodzin. Położenie zdaje się beznadziejne — kto jednak czytał proste zapiski ks. Żyskara z jego kilkunastoletniej duszpasterskiej wędrówki wzdłuż i wszerz rosyjskiego imperjum, kto odczuł ile wierności dla wiekowej tradycji i prastarego obyczaju, mieści się w głębi tych dusz i serc prostych, ten nie uwierzy w wynarodowienie. Ulegała mu inteligencja, zatracała się dla pol-



Chata polska na Syberji.

skości — robotnik niósł stale swój grosz ofiarny na cele ogólne polskie i tworzył wśród obcych niedostępne twierdze.

Miejmy nadzieję że nawet i w tajgach Sybirskich, pod wpływem jakiegoś przypadkowego żywszego impulsu — wieści z kraju, pisma lub książki — głęboko zagrzebane uczucie wydobyć się i odrodzić potrafi."

I. W. Kosmowska.

Śmierć księcia Franciszka Rakoczego II

Kartka z dziejów przeszłości.



Książę Franciszek Rakoczy II.

Z okazji bombardowania niedawno miasta Rodosto przez eskadrę turecką, po wkroczeniu do niego wojsk bułgarskich, nie od rzeczy będzie powiedzieć słów parę o księciu Franciszku Rakoczym, który spędził tam na emigracji resztę żywota swego i zmarł w tem mieście d. 8 kwietnia 1735 r. [1])

Książę Rakoczy, jeszcze za życia pragnął być pochowanym w Konstantynopolu obok swej matki w kościele OO. Jezuitów w Galacie (księży Lazaristów, dzisiaj kościół św. Benedykta), w kaplicy św. Franciszka Ksawerego, w której zbudował piękny ołtarz marmurowy. Ponieważ w one czasy w Turcji był zwyczaj, że nie wolno było sprowadzać do Konstantynopola zwłok nieboszczyka, nawet gdyby one były i wielkiego wezyra, to, rozumie się, i prośbie krewnych Rakoczego odmówiono. Więc postanowiono pochochować go tymczasem w Rodosto. Ciało nabalsamowane i przyodziane w szaty ceremonjalne orderu Złotego Runa, którym nieboszczyk udekorowany został przez Filipa V, króla hiszpańskiego, złożono do dębowej trumny i wystawiono na widok publiczny w głównej sali pałacu, w której odprawiały się msze żałobne, jedna za drugą. Złożenie do grobu miało miejsce publicznie i po odprawieniu mszy pontyfikalnej przez ówczesnego arcybiskupa Smyrneńskiego, na której obecni byli ambasador francuski, markiz de Villeneuve z całym personelem poselstwa i mniszek, poseł polski, wysłany przez Rzeczpospolitą w misji specjalnej do sułtana Mahmuda I (1730—1754), trumna została złożona w grobie murowanym, umyślnie w tym celu zbudowanym pod jednym z kiosków w parku pałacowym. Żelazne drzwi do grobu tego zostały zamurowane.

Do tych szczegółów przybywają jeszcze całkiem nowe, zaczerpnięte z listów [2]) francuza Saussuré, jednego z dworzan zmarłego księcia, pisanych do Chauvelin'a w Paryżu.

„W trzy miesiące po śmierci (ks. F. Rakoczego)—pisze wzmiankowany dworzanin do sekretarza przybocznego króla Ludwika XV-go—otrzymaliśmy pozwolenie na sprowadzenie do Konstantynopola mebli i innych kosztownych rzeczy, pozostałych po nieboszczyku i takowych złożenia w jednym ze składów towarowych, w bezpiecznem miejscu od ognia. Otrzymawszy takowe pozwolenie, kazaliśmy sporządzić 22 wielkie skrzynie, wszystkie jednakowej wielkości, w jednej z których upakowaną została trumna ze zwłokami księcia i wynajęto w tym celu do



Książę Józef Rakoczy,
syn ks. Franciszka.



Księżna Helena Zrinyi,
matka ks. Franciszka.



Hrabina Bercsényi z domu Csaky,
siostrzenica ks. Franciszka.

przewiezienia tych skrzyń do Konstantynopola niewielki żaglowiec *isacoleva*. P. Mikes, szambelan nieboszczyka i ja — pisze tenże dworzanin — wsiedliśmy na statek i popłynęliśmy. Po przyjeździe do Konstantynopola nasz statek nie był rewidowany. Skrzynie zostały wyładowane na *quai* w pobliżu klasztoru OO. Jezuitów (dzisiejsza ulica Mumhane). Podczas gdy ja zająłem się przeniesieniem tych skrzyń do składów, szambelan kazał skrzynię ze zwłokami księcia, pod pozorem że takowa zawiera książki, wnieść wprost do klasztoru. Następnej nocy zwłoki zostały złożone w kaplicy św. Franciszka, tak sobie życzył nieboszczyk".

Zwłoki księcia przeleżały w krypcie wzmiankowanej kaplicy do r. 1905. Na życzenie cesarza-króla Franciszka-Józefa, który się wyraził temi słowy: „Pragnę niezmiernie, by Rakoczy i jego rodzina z przyczyny wzniosłych zalet duszy i wielkiego patryjotyzmu, spoczywali na wieki na ziemi węgierskiej"—uformował się komitet specjalny w Budapeszcie, który wysłał swych delegatów do Konstantynopola dla przewiezienia zwłok ks. Rakoczego i jego rodziny, jak również towarzyszy jego wygnania, jak hr. Bercsényi, hr. Eszterhazy, Mikołaja de Sibrik, a także księcia Emeryka Thekoly, zmarłego na wygnaniu w Ismidcie (dawnej Nikomedji) w Azji mn., nad morzem Marmora.

Dnia 10 maja 1905 r. po odprawieniu mszy pontyfikalnej w kościele św. Benedykta przez Delegata Apostolskiego w Konstantynopolu w assystencji patrjarchów, arcybiskupów, i biskupów obrządków wschodnich, na której obecne było całe ciało dyplomatyczne, uwierzytelnione przy W. Porcie i cała tutejsza austro-węgierska kolonja, i przedstawiciele W. Porty, kondukt żałobny wyruszył do przystani na Galacie, gdzie na *quai* stał już pod parą statek Lloydu węgierskiego,



Starożytny kościół św. Benedykta w Galacie, zbudowany w połowie X-go stulecia za czasów germańskich, pierwiastkowo klasztor Benedyktynów, później Jezuitów, a obecnie Lazarystów.

na którego przednim pokładzie umieszczono trumny węgierskich wygnańców. Po udzieleniu tam ostatniej absolucji i odśpiewaniu *Requiem aeternam...* bez gwizdania, z flagą narodową, okrytą czarną krepą i spuszczoną do pół-masztu, podniósł kotwicę, żegnany 21 strzałami ze statków wojennych, tureckich i zagranicznych i opuścił Konstantynopol, dążąc do Fiume.

Książę Rakoczy odegrał także wybitną rolę w dziejach cywilizacji Turcji i był jednym z jej pionierów. Za jego staraniem, jak pisze p. Gaston Grésy, w swem dziele, [3]) niedawno opublikowanem, w jednem ze skrzydeł pałacu w Rodosto została założona *pierwsza* drukarnia i odlewnia trzcionek w Turcji, do której sprowadził on z Niemiec uzdolnionych zecerów, jak również przyjął na naukę młodych turków i ormian.

Z wyżej wzmiankowaną drukarnią łączą się także pewne wspomnienia historyczne, drogie dla serca każdego polaka. Otóż w tej tłoczni książęcej został wydrukowany podręcznik do pisania papierów urzę-



Tablica marmurowa w kaplicy św Franciszka Ksawerego.



Kaplica św. Franciszka Ksawerego przy kościele św. Benedykta, w której w ciągu dwuch stuleci spoczywały zwłoki wygnańców węgierskich.

[1]) H. Hammer, *L'Histoire de l'Empire Ottoman*, Tom XIII.

[2]) *„Revue de Hongrie"* № 11 (1910) Paris. Miesięcznik redagowany przez p. I Kanta, profesora literatury i historji węgierskiej w Sorbonnie.

[3]) Gaston Grésy, *„Le Prince François Rakoczi II,"* Paris 1910.

dowych w języku tureckim, jako to *takrir'ów*, *tezker*, *mazbata*, i t. p., przeznaczony dla uczni b. polskiej szkoły orjentalnej [1]) w Konstantynopolu, założej za staraniem radcy ówczesnego poselstwa polskiego tamże, p. Boskampfa przez króla Stanisława-Augusta. Szkoła ta mieściła się w budynku drewnianym obok gmachu ówczesnego poselstwa polskiego przy ulicy *Lech-sokak* (dzisiejsza *Rue de Pologne*), nieco niżej konsulatu włoskiego, i pozostawała pod kierunkiem p. Piotra Crutta'y, pierwszego dragomana ówczesnego poselstwa polskiego.



Węgierska korona św. Stefana.

Do wzmiankowanego podręcznika napisał przedmowę i uzupełnił go komentarzami polskimi p. W. Konarzewski, ówczesny dyrektor wzmianowanej szkoły.

Egzemplarz tej bardzo rzadkiej książki, ozdobnie oprawnej z futerałem, przechowuje się w bibliotece przy muzeum Starożytności w Starym Seraju w Stambule.

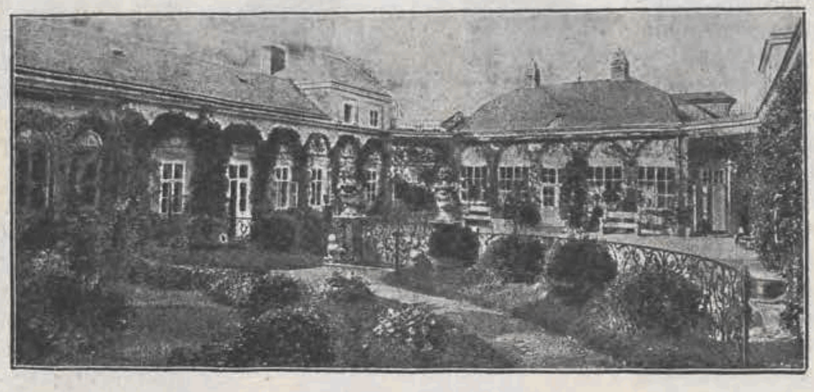
Również w tejże samej drukarni wykonane zostały niektóre roboty drukarskie dla kancelarji b. poselstwa polskiego, jak np. blankiety z nadgłówkami: *„Legation Royale Polonaise à Stamboul"* z orłem nad tym napisem. Jeden z takich blankietów widziałem przed paru laty u prawnuka, ostatniego posła polskiego nad Bosforem, p. D-ra Bonkowskiego - beja w Konstantynopolu.

Co się tyczy pałacu ks. Rakoczego w Rodosto, którego lewy pawilon poważnie ucierpiał podczas bombardowania, to on stanowi obecnie własność narodową węgierską.

Konstantynopol.

Dr. Fruziński-Bej.

[1]) Th. Gasztowt. *„La Pologne et l'Islam"*, Paris 1909.



Pałac ks. Fr. Rakoczego w Rodosto.

NAD MORZEM.

Widzę morze—energji świat pełen wciąż nowej..,
Falę widzę, co nigdy nie odpocznie — cicha,
Bo ruch bierze swój z łona, które nie wysycha,
Choć rozprasza naokół skarb pereł baśniowy.

Widzę — znojem nad siły oroszone głowy —
Pierś, co w kleszczach męczarni żyje i oddycha,
I perły — z smutnych oczu płynące kielicha —
Cały ogrom boleści — po wieki hiobowej..

Myśl docieka daremnie celu i przyczyny
I pyta ptaka w locie, kto go śle w wyżyny?
Pąka — czemu zakwita, choć go czeka zgnicie?

Tęsknoty, szybującej ku gwiazdom w błękicie,
Pyta o zdrój, co krzepi wiecznej nędzy syny.—

I korzy się przed Mocą, co daje znieść życie!...

Stefanja Zajaszewiczowa.



Anatol France o „Fauście" Goethego.

Z okazji wystawienia w paryskim „Odeonie", „Fausta", Goethego w nowej i oryginalnej inscenizacji, tygodnik „Les Annales" między innemi przytacza niezwykle ciekawą i trafną opinję Anatola France'a—o tem największem arcydziele literatury niemieckiej. Stylem lekkim i potoczystym rozsnuwa France przędzę refleksji, w łagodnem świetle mądrej swej pogody. Oto co pisze:

„Poezja zawiera się w tem, co nieokreślone. Najgenjalniejszy poeta nie zdoła dodać ani jednego atomu do całokształtu natury. Ale może i powinien nawet, to co możliwe ujmować, odgraniczać kształtem. W istocie, im większy jest talent, tembardziej wszystko upraszcza. Jeżeli zdołał odwrócić nasze myśli od różnorodnych okoliczności i skupił uwagę naszą w punktach przez siebie obranych—dzieło jego zostało dokonane. Spojrzcie na Małgorzatę... Pełna jest poezji, gdyż jest wcieleniem swego przeznaczenia, a każde przeznaczenie, bez względu na sposób widzenia, pociąga i wzrusza. To, co jest najbardziej ogólne, tylko wtedy nas wzrusza, gdy nam je ukazują w formie skróconej, uproszczonej. „Uwiedziona dziewczyna, która zabija własne dziecko, wesoła historja, co?!" — powiadają krytycy, w przeświadczeniu, że powiedzieli już wszystko. Bardzo pięknie! Owa dziewczyna—toć to nieuleczalna nędza dziewcząt biednych i nieuświadomionych. Jest to przeznaczenie, które zawiera w sobie tysiąc przeznaczeń.

Ekonomiści, moraliści, historycy zbrodni i ubóstwa codzień spotykają inną Małgorzatę i opowiadają nam o niej. Ale nie potrafią uczynić jej symbolem wszystkich Małgorzat. Umie to tylko poeta.

Oto dlaczego ludzkość kocha tych, którzy jej opowiadają, wierszem lub prozą o przygodach bohaterów. Lubimy, gdy mówi się o nas pod zmyślonemi imionami. Szukamy siebie i znajdujemy w postaci Hamleta, Don Kiszota, Fausta. Faust—to jesteście wy — to ja, to człowiek. Gdy powiadam człowiek, mam na myśli kwiat rodzaju ludzkiego, człowieka w pełnem znaczeniu tego wyrazu, tego, który jak mówił niegdyś Faust, stanowi mały wszechświat, mikrokosmos, zwierciadło duchowe życia. Goethe kochał życie. I pragnął tworzyć dzieła, które mogłyby stanowić idealny wzór życia. Faust jest gloryfikacją dzielności ludzkiej i genjuszu. W tem potężnem dziele zachęcał Niemcy do pracy fizycznej i umysłowej, do czynu świadomego. I my także powinniśmy czerpać stąd zachętę do dalszej pracy na drodze kulturalnego rozwoju".



Nieznana sylweta Goethego
z niedawno odnalezionych zbiorów z roku 1776.

W tych kilkudziesięciu wierszach poświęconych Faustowi, dźwięczy jakaś cicha nuta dobroci, ogarniającej wszystko, w trosce o jutro, nuta tak często się powtarzająca w twórczości France'a.



Anatol France.

TEATR

P. Henriette Roggers.

Przez kilka dni bawiła w Warszawie p. Henriette Roggers, znakomita artystka francuska i jej trupa.

P. Henriette-Roggers wystąpiła w teatrze Wielkim cztery razy. Zaczęła „Złodziejem" Bernsteina, potem grała żonę w „Żagwi" Kistemaeckers'a (wystawionej w ubiegłym sezonie w teatrze dyr. Zalewskiego), następnie ukazała się kolejno w dwuch fabrykatach Bataille'a w „Szalonej pannie" i w „Kobiecie nagiej".

Wszystkie wymienione sztuki należą do rzędu „wielkich sukcesów paryskich", a są sprytnemi sztuczydłami, przeznaczonemi na teren aktorskich efektownych ćwiczeń. Psychologja wywraca tu kinematograficzne kozły: z góry na dół, a potem z dołu do góry, choćby na trzecie, czwarte, piąte piętro, choćby na Mont Blanc! To bardzo łatwo zrobić; kręci się poprostu korbą w przeciwną stronę.

Niepodobna pojąć, jakim sposobem krytyka francuska, kształcona na takich autorach, jak Molière, Beaumarchais, Merivaux, jak Becque, jak żyjący do dzisiejszego dnia, znakomity Porto-Riche, jakim sposobem krytyka francuska doszła do uniesień w obliczu elukubracji Bernsteinów, Bataille'ów et concsrtes. Denys Amiel powiada np.

w *„Annales des lettres françaises“* za r. 1911 o Henryku Bataille'u: „Wiadomo, że ten autor, który jest naszym największym artystą w najszerszem



Henriette Roggers.
(Występy gościnne trupy francuskiej w Warszawie).

tego słowa znaczeniu, zapewnił sobie od kilku lat pierwsze miejsce w teatrze“.

Sztuka aktorska, istotnie, stoi bardzo wysoko we Francji, stoi u zenitu. I sama się zjada. Większość autorów dramatycznych nie dostarcza aktorom żywej, pełnej treści pracy, ale przygotowuje dla nich różne gwichty do podnoszenia, reki i trapezy do kozłów, liny i drągi do ćwiczeń. Aktor wybiega na scenę, jak atleta na arenę, pokazuje swoją aktorską muskulaturę z jednym kulminacyjnym numerem śród ciszy (bez towarzyszenia orkiestry) i śród braw odchodzi do garderoby.

P. Henriette-Roggers należy do aktorek pierwszorzędnych. Postać, głos, talent, fachowe wykształcenie — składają się w p. Henriette-Roggers na całość niepospolitą. Ta znakomita artystka mogłaby wzbudzać podziw w tragedjach Sofoklesa, w dramatach Szekspira, Ibsena... a zadziwia nas pustymi skokami z pseudodramatycznej trampoliny p. Bataille'a, p. Bernstein'a i p. Kistemaeckers'a. Więc w wybredniejszym widzu wywołuje żal — choć nie jest to ten żal, ta litość, o której mówi w swojej „Poetyce“ stary, a mądrzejszy od wielu dzisiejszych krytyków teatralnych, Arystoteles.

W. Gr.

Z FILHARMONJI.

Nadzwyczajny koncert Kubelika.

Nie małe zainteresowanie wzbudził „nadzwyczajny“ koncert Kubelika. Rozgłos i sława, które zdobył „król skrzypków“, kazały przypuszczać, że dzień występu słynnego wirtuoza będzie prawdziwą ucztą duchową dla Warszawy.

Tłumno też było w sali Filharmonji, wyczekiwano z niecierpliwością pierwszych tonów, które z *czarodziejskich* skrzypek do dusz słuchaczów dolecą.

Oczekiwano wiele—a mało dał Kubelik, powtarzam—mało, jak na Kubelika. Od mistrzów tej miary wymaga się o wiele więcej.

Była to jakaś gra może nawet mdła, prawie że bezbarwna i nie zajmująca, należy tylko podnieść szaloną technikę wirtuoza, no—i czystość, którą nie każdy ze współczesnych skrzypków poszczycić się może.

Tyle o Kubeliku.

Towarzysz Kubelika, Kamil Goll, grał sobie z nut na fortepianie; nocturn Chopina wykonał dobrze, pozostałe numery wyszły b. słabo.

A teraz słówko pod adresem publiczności.

Jest to, jednem słowem, zbiorowisko ludzi źle wychowanych i nie umiejących zachowywać się w publicznych lokalach (nie



Jan Kubelik.
(Koncert w Filharmonji).

brak i tu wyjątków, wyróżniających się wśród ogółu). Mimowoli stawia się więc pytanie, czy przypadkiem te tłumy nie przez omyłkę trafiły do przybytku sztuki, jakim jest Filharmonja, czy raczej nie w podmiejskich budach przyglądać się miały popisom cyrkowym z pod ciemnej gwiazdy.

Za *swoje kilka rubli* kupuje się tylko miejsce, lecz to nie upoważnia do zakłócania porządku na sali. Artysta nie może rozpocząć i nie może spokojnie skończyć utworu, nie można również w skupieniu słuchać — przeszkadza bowiem temu jakiś dziki entuzjazm nie w porę, jakby wybuchy uczuć apaszów lub wprost naszych swojskich *lazzaronów* z nad Wisły. *Z.*

O wszechnicę lwowską.

Polityka austryjacka w sprawie polsko-ruskiej przypomina zabawkę wyobrażającą zapasy pary atletów w ten sposób się odbywające, iż silniejsze pociągnięcie sznurka obala jednego drewnianego pajaca. Biurokracja wiedeńska dzierży sznurki walczącej wbrew woli pary polsko-ruskiej i pociąga raz w tę drugi raz w ową stronę, jak nakazuje zmienny każdoczesny stan barometru politycznego.

Dziś toczy się w 1905 r. słynną borbą rozpoczęta walka o polskość lwowskiego uniwersytetu—walka, której formę potępiłby nawet obywatel patagoński widząc ukraińców lwowskich plądrujących przybytek wiedzy, niszczących portrety i dzieła sztuki w auli uniwersyteckiej.

Założony przez króla Jana Kazimierza uniwersytet lwówski na podstawie reskryptów cesarza Franciszka Józefa I-ego ma zabezpieczony charakter uczelni polskiej. Rusini galicyjscy żądają utworzenia uniwersytetu własnego, co im przyrzeczono orędziem cesarskiem z wiosną ubiegłego roku. Znając tę niezliczoną ilość biurokratycznych przesłanek, jakie dzielą obietnicę od wykonania faktu, rusini postanowili domagać się formalnej utrakwizacji uniwersytetu lwowskiego, która faktycznie egzystuje od lat 10.



Pawilon główny Uniwersytetu lwowskiego.

Słuchacz lwowskiego uniwersytetu może słuchać wykładów i zdawać egzaminy w języku ruskim, jako wykładowym.

Rusini wysuwają sprawę własnego uniwersytetu jako postulatu politycznego, gdyż w istocie rzeczy wymagania ich językowe są zaspokojone w drodze ugodowej przez senat polski uniwersytetu lwowskiego, który ofiaruje oddawna katedry identycznych przedmiotów ruskim profesorom. Stronnictwa polskie nie odmawiają rusinom potrzeby utworzenia samodzielnego uniwersytetu ruskiego, lecz w żaden sposób stronnictwa i polski Lwów, w którym rusini 15% stanowią zgodzić się nie mogą na uszczuplanie własnych praw zasiewem krwi serdecznej i mądrą polityką lat dziesiątek zdobytych.

Rząd austryjacki nigdy nic darmo nie dawał! Katedra każda i niemal, że każde laboratorjum lwowskiego uniwersytetu jest zdobyte drogą rozmaitych koncesji, które najbardziej odbiły się na pustej kieszeni galicyjskiej i suchotniczym rozwoju handlu i przemysłu. Uposażenie lwowskich zakładów naukowych, jak techniki, akademji weterynarji i uniwersytetu (gmach) urąga najprymitywniejszym pojęciom postępu. Niemieckie uniwersytety w Austrji utrzymują w trójnasób wyższe subwencje od polskich, lub czeskich, które są kopciuszkami budżetu państwowego, mimo hie raczu mienia i krwi, jaki zobawiązani są składać słowiano-austryjaccy.

Walka o polskość uniwersytetu lwowskiego przybiera formę napadu. Rządowi austryjackiemu i stronnictwom ruskim wydaje się, iż łatwiej jest polakom wydrzeć im to co posiadają, uszczuplić ich stan posiadania, niźli sięgnąć do kiesy i postawić ruski uniwersytet w Haliczu, lub Kołomyi, lub zamienić niemiecki uniwersytet na wschodzie słowiańskim Monarchji w Czerniowcach na ruski.

Lecz rusinów galicyjskich, niemiecki uniwersytet w rdzennie ruskiej i napływowo-rumuńskiej Bukowinie nie razi.

Wolą napadać na wszechnicę polską, niźli za Dunaj przepędzić germanizatorskich, czerniowieckich profesorów, którzy tworzą parodję śmieszną, uniwersytetu, dzięki poparciu żydów i popów rumuńskich na słowiańskiej ziemi.

(*m. d.*)

Ślub w Żywcu.

Któż nie słyszał o Żywcu, rezydencji przyjaciela polaków arcyks. Karola Stefana. Wspaniała ta i ze względu na swego gospodarza sympatyczna dla nas rezydencja, była w dniu 11 stycznia widownią uroczystości, która zgromadziła również wiele rodów polskich.

W dniu tym odbył się ślub córki arcyksięcia, Mechtyldy z ks. Olgierdem Czartoryskim. Cesarz Franciszek Józef przysłał na ślub zastępcę swego, arcyksięcia Fryderyka a prócz tego na uroczystość ślubną przyjechało wielu książąt domu panującego, zaznaczając tem sympatję swą dla nowego związku. Prezenty ślubne, które otrzymała oblubienica od swej rodziny, lub też od rodziny męża, obliczają na kilka miljonów koron.

Arcyksiężniczki żywieckie nie szukają mężów wśród przedstawicieli rodów panujących, idą jedynie za popędem swego serca, a rodzice rozumiejąc uczucia córek nie stawiają im w tem przeszkody i razem z cesarzem Franciszkiem Józefem zezwalają na małżeństwa. Jedynie tylko statut państwowy wymaga w takich razach zrzeczenia się ze strony arcyksiężniczki praw swych do tronu, co też obie córki arcyksięcia Karola Stefana już uczyniły, obie, gdyż i siostra arcyks. Mechtyldy, arcyks. Eleonora na dwa dni przed siostrą w dniu 9 stycznia wyszła za mąż za porucznika okrętu linjowego, barona v. Klossa.



Na dziedzińcu ratusza we Lwowie odbył się wiec w celu obrony Wszechnicy lwowskiej.



Ślub w Żywcu. Arcyks. Mechtylda i ks. Olgierd Czartoryski.

Nowy polski dramat kinematograficzny.

Kinematografy w pogoni za sensacjami, zwróciły się w ostatnim czasie do produkcji literackiej w celu układania pantomin filmowych, zwanych szumnie dramatami psychologicznymi. Lepiej późno, jak nigdy!.. A. Schnitzler układa swe „Miłostki" (Liebelei) dla kopenhaskiej firmy, Maeterlinck dla paryskiej a warszawskie Tow. udziałowe „Sfinks" spróbowało odtworzyć na filmach przeróbkę nieautorską „Aszantki" Perzyńskiego, posługując się warszawskiemi młodemi siłami artystycznemi i lokalnym kolorytem miejsc akcji. Grający na ekranie nasi artyści nie przyswoili sobie t. zw. stylu kinematograficznego w ruchach i mimice, wyrażającego się w mocnej ekspresji gestykulacji, mającej zastąpić żywe słowo. Naogół jednak z tej pierwszej ekranowej próby wyszli zwycięsko p. Dulębianka w głównej roli Aszantki i p. Grabowski w roli złotego młodzieniaszka.

Zdjęcia pod względem fotograficznym są doskonałe i nie ustępują zagranicznym, wykonanym na odpowiednio urządzonych scenach. Podnieść należy z uznaniem wybór architektonicznych tematów z Starej Warszawy i okolic Powiśla. Dramat nosi tytuł „Wykolejeni", historja jakich wiele, lecz film nie podaje autora, choć ta właśnie „historja" jest żywcem uchwycona z wybornej komedji Perzyńskiego p. t. „Aszantka".

Spółka mięsna.

W przededniu zawiązania się instytucji o znaczeniu nie tylko handlowem lecz i społecznem, nie od rzeczy będzie wyjaśnić, jakie są główne cele i jaką jest doniosłość organizowanej właśnie instytucji p. n. „Spółki mięsnej".

Handel mięsem w Warszawie znajduje się wyłącznie w rękach 9 spekulantów-monopolistów, którzy sprzedają bydło wyłącznie tylko 40 hurtownikom, ci zaś dopiero rzeźnikom, restauratorom i t. d. Samo się przez się rozumie, że ów związek 49-iu sztucznie szrubując ceny, klęską prawdziwą jest dla ludności miasta. Dotychczasowe zabiegi nieraz już czynione w celu rozbicia mięsnego monopolu pozostawały zawsze bez skutku, monopoliści bowiem wszystkich sposobów używali, by akcji w tym kierunku przeszkodzić.



Stanisław Pietraszkiewicz, nowoobrany prezes komitetu do spraw zorganizowania „Spółki mięsnej".

Spółka mięsna ma więc przedewszystkiem na celu uregulowanie handlu mięsem przez nawiązanie bezpośrednich stosunków z producentami, czyli hodowcami bydła a więc ziemiaństwem z pominięciem pośrednictwa monopolistów i hurtowników. Tym sposobem ceny mięsa będzie można obniżyć o 25 do 30%.

Organizacją spółki zajmuje się już komisja złożona z 12 członków z komitetem na czele; na prezesa komitetu powołany został świeżo dyrektor rzeźni miejskiej p. Stanisław Pietraszkiewicz, na wiceprezesa p. Leon Reinszmidt, na sekretarza lek. weter. Mieczysław Kossowski, na radcę prawnego zaś adw. przys. Stefan Znatowicz. Nadmienić należy, że kwestją „spółki" zainteresowało się również Centr. Tow. Rolnicze.

Scriba.



Scena z „Wykolejonych". Grabowski, Kamiński i Dulębianka.



Scena z „Wykolejonych". Dulębianka — solo. (Zdjęcie z filmy kinematograficznej).

Czytelnicy, którzy nabędą numer bieżący w naszej administracji lub w kolportażu, będą mogli nabyć w cenie zniżonej do 15 kop. nasz numer noworoczny wraz z portretem ks. Józefa Poniatowskiego. Numer ten kosztuje kop. 30.



Czanak-Kale. Dardanelle, strona azjatycka; w pobliżu była stoczona bitwa morska d. 16 grudnia 1912 r.

Z TEATRU WOJNY.

Bitwa morska u wejścia do Dardanellów dnia 16 grudnia 1912 r.

(Od naszego korespondenta wojennego w Konstantynopolu).

Koło godz. 8-ej zrana mijaliśmy wyspę Tenedos. Stało tam na kotwicy parę statków wojennych, dawnego typu, lecz mających wygląd dość arogancki. Liczymy je: 1 torpedowiec, 2 krążowniki i 1 pancernik. Ten ostatni, gdyśmy zdala od niego przejeżdżali, dał dwa ślepe strzały, powtórzone prędko jeden za drugim, jakby ze złością, abyśmy się zatrzymali. Natychmiast spuszczono kotwicę i dano kontraparę. Podjeżdża do nas na łódce oficer ze wzmiankowanego pancernika z 6-ma marynarzami, trzymającymi w rękach karabiny z najeżonymi bagnetami. Kapitan naszego statku — jechaliśmy na królewsko - rumuńskim pocztowym parowcu „*Imperatul Trajan*“, kursującym pomiędzy Aleksandrją (Egipt) via Konstantynopol (względnie Salonika) i Konstanzą (Rumunja)—świstkiem dał znak do spuszczenia schodków. Oficer grecki z marynarzami wchodzą na pokład naszego statku, odbywa się przegląd naszych paszportów i ksiąg okrętowych, rewizja dolnych pokładów i sprawdzanie konnosamentów — ceremonje i obrzędy dozwolone przez międzynarodowe prawo morskie w czasie wojny, i po półgodzinie czasu dostajemy pozwolenie na dalszą podróż. Maszyny poczęły pracować, łańcuchy kotwicy zaskrzebotały, ruszamy. Ujechaliśmy jeszcze kilkanaście mil morskich, dążąc w kierunku północno - wschodnim.

Byliśmy w oddaleniu paru mil morskich od wejścia do Dardenellów. Słońce pięknie przyświecało. Niebo koloru niebiesko błękitnego, które o tej porze roku można tylko widzieć w południowej strefie Europy. Morze koloru lazurowego, ciche, spokojne, ani najmniejszego wiaterku. Wszyscy pasażerowie I kl. siedzieli na pokładzie, powyciągani w trzcinowych fotelach, gwarząc o wypadkach bieżących i flocie greckiej, krążącej po wodach morza Egejskiego...

Po paru minutach, wdali na horyzoncie, w stronie wschodnio-północnej, spostrzegamy eskadrę grecką w wielkim nieładzie. Wnet można było rozróżnić jej „humor“ teatralny i dym z 5iu krążowników i 4u pancerników. Towarzysz mej podróży z Saloniki, pewien oficer turecki generalnego sztabu, powiada mi, że największy z tych ostatnich i znajdujący się na czele eskardy greckiej jest to właśnie głośny „*Averoff*“.

Wtedy flota turecka, która była wypłynęła z cieśnin na pełne morze, zbliża się pompatycznie w szyku bojowym, jakby pewna siebie i świadoma swej siły fizycznej i moralnej... W każdym razie jej wygląd, zachowanie krwi zimnej, sprawiał widok majestatyczny.

Nasz statek zatrzymał się, zwracając się *backbord'em* (lewą stroną) równolegle do północy. Wszyscy powychodzili na pokład, nawet kucharze, kucharki i węglarze, i przez lornetki śledzili akcję morską. Był dystans nieco daleki, by można było fotografować, lecz w każdym razie dość rzadkie widowisko, przedstawiające bogaty materjał dla malarza—batalisty tego rodzaju, co ś. p. Ajwazowski.

I kiedy pancernik turecki „*Haireddin-Barbarossa*“ i trzy inne stanęły w szyku bojowym, zabłysły z paszcz dział ich jednocześnie 4 ognie. Huk, grzmot, jakby się walił na nas firmament niebieski, brzęk łańcuchów kotwicy naszego statku, lekkie pofalowanie wody morskiej krakanie mew wystraszonych.

Spoglądam na zegarek,—była godzina 9 m. 45.

„*Averoff*“ i inne statki greckie odpowiadają i po chwili giną w obłokach dymu...

Nie widzimy już więcej nic, tylko słyszy się ryk dział i straszne wstrząśnienia atmosfery...

Granaty i szrapnele, nie tra-



Eskadra wojenna w szyku bojowym.

fiając do celu, padają w wodę, która podnosi się w górę na kilkanaście metrów, w kształcie fontanny.

W pół godziny potem, około g. $10^1/_4$, jak się zdaje, nastąpiło starcie, które zadecydowało o wyniku bitwy stoczonej. Pozycja pancerników tureckich bynajmniej się nie zmieniła. One wciąż stały na swych miejscach, ziejąc wciąż ogień ze swych paszcz. Było aż nadto widocznem, że szyk bojowy statków greckich, został złamany przez flotę turecką. Statki greckie zrobiwszy zwinną woltę w kierunku południowo - zachodnim, w łańcuchu, jeden za drugim poczęły odpływać, pozostawiając za sobą na horyzoncie tylko kłęby dymu...

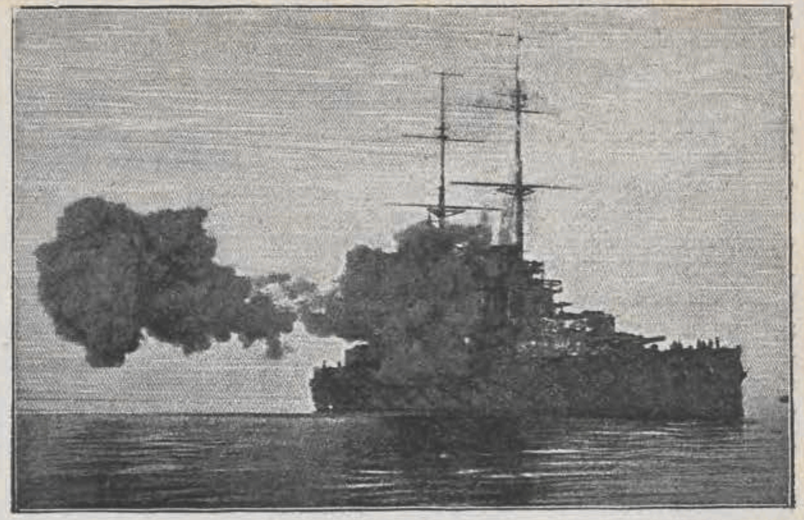
Jeden tylko *„Averoff"* pozostaje na swem miejscu i po chwili, wolno posuwa się ku północy. Tureckie statki okrążają go półkolem. Rozpoczyna się pojedynek w stosunku 1 : 4; walka na życie i śmierć... Trwa ona jeszcze przez parę minut... Była to apoteoza tego, co mogą kiedykolwiek widzieć oczy ludzkie... Z biciem serc wszyscy przyglądamy się temu, tak rzadkiemu widowisku, niektóre damy mdleją ze wzruszenia; orkiestra okrętowa intonuje *„Hora"* rumuńską, a na głównym naszym maszcie powiewa flaga otomańska. Na pokładzie *„Averoff'a"* pożar a wtedy olbrzym ten pospiesznie odpływa...

Kiedyśmy dalej popłynęli i mijaliśmy eskadrę turecką, przyozdobioną już sygnałem *„Święto"* (wywieszenie wszystkich flag sygnałowych), orkiestra nasza gra marsza *„Osmanli"*, panie powiewają chusteczkami, klaszczą w ręce...

Po kwadransie zatrzymujemy się w Czanak-Kale, by odbyć przepisane prawem formalności i przybywamy do Konstantynopola z 3-ch godzinnem opóźnieniem.

Miecz i dyplomacja.

Pokój — za jakąbądź cenę, byle pokój. Tak zdaje się brzmieć hasło ambasadorów, zebranych w Londynie, którzy wręcz oświadczyli, że użyją wszelkich środków, jakie mają do rozporządzenia, aby tylko nie dopuścić do zawieruchy wojennej w Europie. A ponieważ wznowienie wojny na Bałkanach utrudniłoby ambasadorom ową akcję pokojową, więc wszelkiemi siłami starają się, by do wznowienia wojny nie doszło. Co do utrzymania pokoju w Europie,—sprawa ta istotnie spoczywa w rękach ambasadorów. Niechaj tylko pogodzą się w zapatrywaniach na następstwa, jakie wywołać może przewrót na Bałkanach — a źródło wszelkich nieporozumień zostanie zatamowane, Ale takie „pogodzenie zapatrywań" bywa nie kiedy tak trudne, że dyplomacji nie pozostaje nic innego, jak zdać na miecz, przecięcie węzła sprzeczności.



Po wystrzale z wielkiego działa.



Żołnierze, stawiani do ochrony linji telegraficznej w Macedonji, padają ofiarą mrozu i cholery.



Oblężenie Adrjanopola. Mimo zawieszenia broni i mrozu, wojska bułgarskie i serbskie wciąż są w pogotowiu wojennem.

W tym miesiącu nastąpi rozlosowanie pierwszych czterech obrazów.

Obecnie właśnie zachodzi ten wypadek. Sprzeczność zapatrywań dotyczy Serbji. Wojna wzmocniła ją, powiększyła znacznie jej terytorja, a równomiernie uczyniła ją niebezpieczną dla Austrji. Według poglądów jednej strony, — wypowiadanych podobno nie w Wiedniu, lecz w Berlinie — Serbję siłą zgnieść należy, aby nigdy nie zbudziły się w niej pretensje tworzenia jakiejś mocarstwowej, wielko-serbskiej, czy wielko-chorwackiej potęgi. Takie zgniecenie Serbji wydaje się drugiej stronie, decydującej w Petersburgu, niepożądanem, nietylko dla sprawy słowiańskiej, ale wręcz dla interesów Rosji.

Rozbieżność poglądów na tym głównym, podstawowym punkcie powoduje różnicę zdań w wielu innych sprawach. A wszystkie nie w tym punkcie biorą początek. Stąd też gdy dotknięto tego głównego, zasadniczego punktu i z Petersburga nawiązano bezpośrednie rokowania z Austrją, aby rozpuściła swe wojska zebrane w Bośni i nad granicą rosyjską okazało się, że Austrja nawet słuchać o tem nie chce.

Wobec tego powodzenia akcji ambasadorów w zakresie utrzymania pokoju europejskiego dziś jeszcze przesądzać nie można. Jedno tylko nie ulega wątpliwości, a mianowicie, że wszystkie mocarstwa wyczerpią wszelkie środki, mające na celu niedopuszczenie do zatargu zbrojnego.

Inaczej przedstawia się sprawa wznowienia wojny na Bałkanach. Wyniki dotychczasowe tej wojny nietylko były klęską dla oręża tureckiego, ale, co gorsza, rozprzęgły zupełnie porządek państwowy ottomański. Do niepowodzenia orężnego przyłączyła się wewnętrzna anarchja. Czterdzieści lat temu w podobnem położeniu znalazła się Francja. Dzięki swym siłom żywotnym wyszła cało z fatalnej sytuacji, ale po dziś dzień dotkliwie odczuwa rany, wówczas jej zadane. Turcja takich sił żywotnych nie miała nigdy i dziś ich niema. Wojna domowa nie wzmocni jej, lecz przeciwnie, osłabi ją tak, że państwo Ottomańskie znaleźć się może w obliczu zupełnej ruiny.

Rozumieją to przedstawiciele państw bałkańskich i dlatego tak silnie stoją przy swych żądaniach, od których od początku rokowań ani na krok nie odstępują. Obawy zatem co do wznowienia wojny na Bałkanach, między Turcją a państwami związkowemi, są płonne. Może dla formy, dla pozoru, rozledz się jeszcze strzelanina pod Czataldżą lub pod Adrjanopolem, ta jednak dla całości sprawy znaczenia mieć nie będzie.

Groźniej przedstawia się zatarg między Rumunją a Bułgarją o „odszkodowanie za neutralność.“ Już sama treść i nazwa tego zatargu dowodzi, że regulować się on będzie nie tyle między Sofją a Bukaresztem, ile między Wiedniem a Petersburgiem. To jest tylko dalszy ciąg kwestji serbskiej.

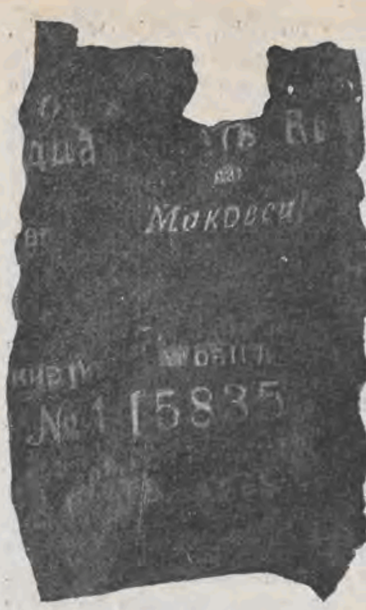
h. m.



Książę Katsura,
nowy japoński prezes ministrów.

Czy można odzyskać spalone dokumenty?

Odpowiedzią twierdzącą na to pytanie jest wynik ciekawej sprawy, która była rozpatrywana przez warszawski sąd okręgowy. Chodziło mianowicie o uznanie, że spalone listy zastawne zostały jedynie uszkodzone i że zwęglone szczątki



Za pomocą fotografji zdołano odczytać napisy na zwęglonych listach zastawnych.

(Fotogr. St. Bogacki).

tychże podlegają przecież zrealizowaniu.

W sprawie tej, jednego ze swych klijentów, przeciw Tow. kr. Miasta Warszawy występował adw. przys. L. Rotwand. Zadanie było dość trudne, chodziło bowiem o stwierdzenie, że spalone listy zast. należą właśnie do danej serji i posiadają dane numery, inaczej bowiem T-wo mogłoby ponieść dotkliwe straty, gdyby z czasem okazało się, że w obiegu znalazły się inne listy tejże serji i tychże numerów. Z pomocą przyszła tu fotografja. Zwęglone szczątki listów, odpowiednio nalepione na żelatynie, sfotografował zakład St. Bogackiego, ustawiwszy je przedtem pod odpowiednim kątem i w odpowiedniem oświetleniu. Wówczas, po sfotografowaniu, dość wyraźnie wyszły napisy, numery, serja, podpisy i t. p.; jeden z takich szczątków reprodukujemy właśnie przy niniejszem.

Wyrok sądu zapadł w przychylnym duchu dla poszkodowanego. Odtąd więc spalony walor nie należy uważać za zniszczony o ile rozumie się będzie można jego tożsamość stwierdzić za pomocą fotografji.

Sz. prenumeratorów, którzy dotychczas jeszcze nie wnieśli przedpłaty, prosimy żeby raczyli pocztówką zawiadomić nas kiedy uiszczą należność.

Książki

POEZJE IDZIKOWSKIEGO.

Na pierwszej stronicy — portret poety. Wkrąg rozbrzmiewa dawno zapomniana muzyka; na chwilę wyklęta z głębokiej ciszy, boleśnie napięta wolą twórcy — drażni słuch i jednocześnie czaruje, upaja i sprawia cierpienie. Jest tak nieuchwytna, tak płochliwa — że lada szmer obcy może ją zagłuszyć.

Cała nasza istność zamiera, wciela się w jedno męczące pragnienie rozpłynięcia się w tej niebiańskiej harmonji, w tym dziwnym stanie rozkosznie wyłącznym, gehenną usiłowań zdobytym. Czytelnik staje się twórcą przez instynktowną chęć utrzymania się na wyżynie, która go tyloma rzadkimi dreszczami obdarowała.

Lecz gdzież jest artysta, gdzież ten poeta, który począł to wszystko? Czyż zamieszkuje on po innej stronie bytu, czyż darząc iskrami ducha, sam jest płomieniem, przyczyną wszechpotężną, genjuszem?... W jednej książce zawarł runiczne znaki swych śnień, garść złotego piasku rozsypał po białych płytach marmurowych w świątyni Kształtu... Śpiewa gdzieś, prawie szepce poufnie:

..."Jeśli nieszczęście ciąga cię za włosy — że nigdzie miejsca nie znajdziesz bez smętu. Stań się choć chwilę, niby kropla rosy — co tak z bzowego zczerniałego prętu na kwiat wybiegła, i w sobie niebiosy zamyka cicho — jak lustro odmętu."

Otóż tę drobną kroplę rosy ukochał—ostrożnie, troskliwie— w poświęcanej, misternie inkrustowanej czarze, wyniósł ją z ciżby, z zgiełku, ze świata „małych szyb" i „startych miedziaków", hen na wieżycę strzelistą, nienaruszoną, budowaną z uporem ofiarnie i znojnie, w długie dni tęsknot, zbyt nieokreślonych i egotycznych, aby mogły znaleźć kształt skończony i nazbyt tego kształtu spragnionych. Z melodji wiersza, z rytmicznych tonacji, z niespodziewanych olśniewających porównań i obrazów tchnie, chorobliwie prawie spotęgowana troska o spoistość budowy, o nieziszczalność wizji, które tak niesłychanie trudno mu było zamykać w ważkość słów, w wymowny splot powyginanych linji — jemu gardzącemu frazesem lub zwrotem ustanowionym—jednemu z najbardziej małomównych poetów. Być może, że ten właśnie bałwochwalczy kult dla Formy, owe prawie korzenie się przed jej niedościgłością, stanowi arystokratyczny chłód jego twórczości.

I to pewna, że nigdy ten, jak sam się nazwał „słoneczny odkrywca" nie ujrzał przepychu własnego dzieła. Jeno gdy przymknął powieki, muza wyjęła mu z dłoni zaczęty posążek, i z słodkim uśmiechem podziwu złożyła na ołtarzu Sztuki. *J. A.*



Zygmunt Zenon Idzikowski.

Bibliografia.

Marceli Sachs. „Ostatni dzień Lucjana Millera," wydanie drugie. Str. 99. Kraków. G. Gebethner i Sp.

Leo Belmont i Jerzy Huzarski. „Zwycięstwo Romana Dmowskiego". Str. 88. Warsz Nakładem L. Belmonta.

Maksymiljan Kern. „Tajemnica Wyspy Celebes," opowieść z życia wychodźców. Opracowała dla młodzieży Br. Wierusz-Kowalska. Str. 191. Nakład Tow. Akc. Wydawniczego „Świat". Wydawnictwo „Przyjaciela dzieci". Skład główny w księgarni E. Wende w Warszawie.

Z PRASY.

Tygodnik satyryczny „Sowizdrzał" stanowczo zrywa z ogólnym szablonem pisemek humorystyczno satyrycznych i jak widać z treści i ilustracji jest już dziś świetnem pismem literacko satyrycznem i artystycznem a składają się na to między innemi: utwory pisarzy tej miary jak sam redaktor Wł. Nawrocki, A. Lange i inni oraz oryginalne rysunki Norwida a ze współczesnych—ciekawe w rozmachu swym wielobarwne ilustracje Czernego.

Odpowiedzi Redakcji

Panu S. w Piotrkowie. Władysław Żelisławski przyjmuje zamówienia i na prowincji Adres: Wilcza № 31.

Pani Z. B. „*Neue Moden*", Gesellschaft für graphishe Industrie, Wien VI/2, Gümpendorförstr. 87.

Pan B. Bogdanowiczowi w Opatówku. Prosimy o łaskawą odpowiedź na nasz list, wysłany przed tygodniem.

P. S. R. Z nadesłanych utworów poetyckich nie skorzystamy. Figielek umieścimy.

P. A. S. Utwór Sz. Pana, przesycony sztuczną atmosferą erotomanji, jest bezduszną impresją na temat banalnie pojętego sadyzmu. Rękopis zachowany do zwrotu.

S. p. Jan Ciągliński.

W Petersburgu zmarł wielce utalentowany, znany malarz-artysta ś. p. Jan Ciągliński, urodzony w r. 1859.

W 1879 ś. p. Ciągliński ukończył warszawską szkołę rysunkową, poczem wstąpił do akademji Szt. pięknych w Petersburgu, gdzie po paroletnim pobycie zdobył w r. 1885 wielki medal złoty, za obraz konkursowy „Sadzawka Siloe". Ukończywszy akademję zwiedził Kaukaz, Krym, Turcję, Marokko i Tunis, co też bardzo dodatnio wpłynęło na jego twórczość.

Jako wybitnego malarza i człowieka wielkiej wiedzy fachowej powołano go w r. 1896 na profesora czynnego akademji w Petersburgu a w r. 1911 senat akademicki przyznał mu dyplom członka honorowego tejże instytucji; tytułem tym poszczycić się mogą tylko pierwszorzędni malarze.

W r. 1905 Tow. Zachęty urządziło specjalną wystawę prac Ciąglińskiego, gdzie w całej pełni mogliśmy podziwiać dzieła świetnego kolorysty.

Na wielu konkursach zdobywał odznaczenia i nagrody.

Tracimy w zmarłym poważną, artystyczną siłę i człowieka o wielkich zasługach.

Ś. p. Ks. Franciszek Brzeski.

Zmarły ś. p. ks. Franciszek Brzeski, protonotarjusz infułat papieski, prałat domowy Jego Świątobliwości i prałat prepozyt kapituły łowickiej, należał



Ś. p. ks. Fraciszek Brzeski,
infułat protonotarjusz Apost., prałat Łowicki.

do najzasłużeńszych kapłanów w naszem mieście.

Ur. w r. 1835, po ukończeniu seminarjum i akademji duchownej, otrzymał tytuł kandydata św. Teologji. Piastował godności profesora i wiceregensa seminarjum, jak również pełnił obowiązki prefekta w szkole realnej na Lesznie, w V gimnazjum oraz w szkołach prywatnych w Warszawie.

Początkowo proboszcz parafji św. Trójcy, potem św. Andrzeja założył ochronę i szkołę parafjalną, którą własnym kosztem utrzymywał. Znane są ogółowi wielkie zasługi czcigodnego, zgasłego kapłana.

Ś. p. Marja Szlenkerowa.

Ś. p. Marja Szlenkerowa, zmarła w tych dniach w Warszawie, należała niezaprzeczenie do najszlachetniejszych filantropek. Jej ofiarności zawdzięczają szeregi młodzieży możność kształcenia się, jej staraniem wzniesiony był gmach szkoły im. Szlenkerów, a jako opiekunka szpitala dziecięcego przy ul. Ogrodowej i ochronki przy ul. Oboźnej również szczodre ofiary czyniła. Nie mówiąc o olbrzymich sumach z cichej ofiarności



Ś. p. Marja Szlenkerowa.

zmarłej, ofiary o których społeczeństwu wiadomo, sięgają sum krociowych. Cześć jej pamięci.

Ś. p. ks. Antoni Brykczyński.

Ś. p. prałat Antoni Brykczyński należał niewątpliwie do tych, zasłużonych kapłanów-obywateli, którzy z poświęceniem prawdziwem sprawowali powierzone im duszpasterstwo.

Wkrótce po otrzymaniu święceń kapłańskich, dla wiedzy swej powołany został ś. p. ks. Brykczyński na stanowisko profesora literatury polskiej w se-



Ś. p. Ks. prałat Antoni Brykczyński.

minarjum płockiem. Następnie, jako proboszcz parafji Goworowo, liczącej 15000 dusz, rozwinął szeroką działalność społeczną, pobudował dom ludowy, ochronę i przewodził swym parafjanom w przedsięwzięciach oświatowych, filantropijnych i t. p. Wytrawny znawca sztuki kościelnej niemało i w tym kierunku zasług położył. Znany był również jako publicysta i literat.



Ś. p. Jan Ciągliński.



Dla dzieci łódzkich.

Do bardzo dotkliwych braków Łodzi należy niedostateczna liczba szpitali. To olbrzymie ognisko fabryczne pod względem zdrowotnym należy stosunkowo do najgorszych w kraju, odznacza się największą śmiertelnością i największą ilością zachorowań. Obok ogólnych złych warunków sanitarnych miasta, niepoślednią rolę odgrywają tu warunki pracy, skupienie fabryk i wogóle wszelkich warsztatów, urządzonych w warunkach niehygienicznych, praca natężona, wyczerpująca i z natury swej szkodliwa dla zdrowia, zły stan mieszkań robotniczych i wogóle ludności ubogiej, liche odżywianie, nędza, znaczna liczba wypadków, wymagających stałej opieki lekarskiej i t. d.

Zdawałoby się, że w takich warunkach Łódź powinna posiadać więcej szpitali niż posiadają ich miasta znacznie większe. Tymczasem te szpitale które są, nie zaspakajają nawet drobnej części potrzeb istotnych. Nadto Łódź daje stosunkowo więcej niż inne miasta ofiar śród dzieci. Najwięcej ich zabierają choroby zakaźne i najbardziej daje się odczuwać potrzeba pomocy szpitalno-lekarskiej dla dziatwy ubogiej. To też niepoślednią rolę odgrywa w Łodzi szpital dla dzieci Anny Marji, który po raz pierwszy ogłosił obecnie swe sprawozdanie w książce osobnej i unaocznił swą pożyteczną działalność.

W r. 1902 powziął myśl założenia szpitala dla dzieci dr Karol Jonscher, który już poprzednio położył wielkie zasługi dla Łodzi przez stworzenie zakładu dla umysłowo i nerwowo chorych w Kochanówce. Inicjatywa nie pozostała w krainie pobożnych życzeń, gdyż pp. Emilostwo Geyerowie na ręce inicjatora złożyli znaczną sumę; następnie za tym przykładem poszli inni. Kapitał rósł z dniem każdym i w krótkim przeciągu czasu doszedł do 45,000 rb. W tym samym czasie myśl budowy szpitala dla dzieci powziął p. Edward Herbst wraz ze swą małżonką, Matyldą z Scheiblerów i ofiarował na ten cel 200,000 rb. dla uczczenia pamięci swej córki, Anny Marji, zmarłej w kwiecie wieku.

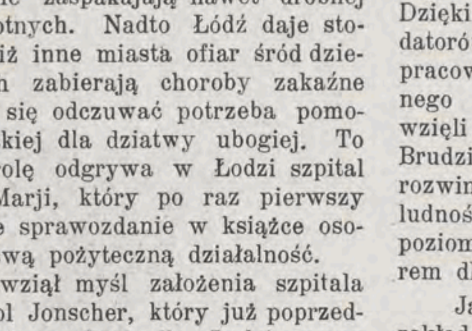
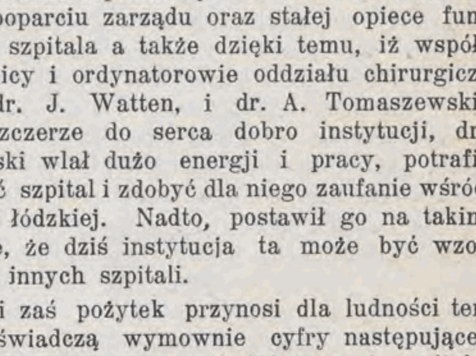
Dzięki tym dwu szlachetnym przedsięwzięciom, dnia 28 czerwca 1902 r. położono kamień węgielny pod nowy szpital a 17 maja 1903 roku otwarto ambulatorjum. Szpital położony jest w obszernym, czteromorgowym parku o dwu frontach i składa się z ośmiu pawilonów oddzielnych, z tych cztery jednopiętrowe: 1) ambulatoryjno-administracyjny, 2) chirurgiczny, przy którym w r. 1908 wybudowano z fundacji p.p. Herbstów instytut ortopedyczno-gimnastyczny oraz gabinet Roentgenowski, ku uczczeniu pamięci dra Karola Jonschera, pierwszego kuratora szpitala; 3) pawilon wewnętrzny wraz z oddziałem tyfusowym, stacją obserwacyjną i centralnem laboratorjum szpitala i wreszcie 4) pawilon gospodarczy.

Dalej cztery pawilony parterowe: 5) szkarlatynowy, 6) dyfterytyczny, 7) kotłownia i kamera dezinfekcyjna i 8) kaplica wraz z salą sekcyjną.

Pierwszym lekarzem naczelnym i głównym organizatorem szpitala był dr. Józef Brudziński. Dzięki poparciu zarządu oraz stałej opiece fundatorów szpitala a także dzięki temu, iż współpracownicy i ordynatorowie oddziału chirurgicznego (dr. J. Watten, i dr. A. Tomaszewski) wzięli szczerze do serca dobro instytucji, dr. Brudziński wlał dużo energji i pracy, potrafił rozwinąć szpital i zdobyć dla niego zaufanie wśród ludności łódzkiej. Nadto, postawił go na takim poziomie, że dziś instytucja ta może być wzorem dla innych szpitali.

Jaki zaś pożytek przynosi dla ludności ten zakład, świadczą wymownie cyfry następujące: w r. 1911 razem w ambulatorjum i szpitalu udzielono pomocy 51,759 dzieciom.

Rok 1910 stał się pamiętnym w dziejach tego szpitala: Fundatorowie, pp. Herbstowie ofiarowali go Łódzkiemu, Chrześcijańskiemu Towarzystwu Dobroczynności i jednocześnie złożyli 100,000 rb. jako kapitał żelazny oraz 50,000 rb. jako kapitał obrotowy na niezbędne wydatki. Dotychczasowy kierownik instytucji, dr. J. Bru-

Szpital św. Anny Marji w Łodzi.

dziński, przeniósł się do Warszawy a na stanowisko lekarza naczelnego i ordynatora oddziałów wewnętrznego i zakaźnych w lipcu 1910 r. powołano dra Władysława Schoeneicha. Nowy zarząd szpitala, powstał z łona Towarzystwa Dobroczynności, mianował d ra Brudzińskiego honorowym kuratorem szpitala i salę główną oddziału wewnętrznego nazwał jego imieniem.

Szpital stanowi obecnie autonomiczną instytucję Towarzystwa Dobroczynności pod kierunkiem Komitetu. Obok zarządu istnieje także komitet pań, którego głównem zadaniem jest dopomaganie zarządowi w zbieraniu funduszów na utrzymanie szpitala.

Zaznaczyć należy, iż szpital posiada laboratorjum, bibljotekę i muzeum, t. j. to, co dotąd przez wielu jest uważane za zbyteczne przy szpitalach a konieczne tylko w klinikach, dających pole do pracy naukowej. To też słusznie kierownik szpitala Anny-Marji uważa takie mniemanie za błędne: „Niema ani praktycznej, ani naukowej medycyny, specjalnie niema ani praktycznej ani naukowej pedjatrji, jest tylko jedna pedjatrja—nauka o chorobach dzieci, która uczy nas, jak mamy ulżyć niedoli cierpiącej dziatwy.“

Dzięki ofiarności fundatorów instytucji, pp. Herbstów, już w r. 1908 z inicjatywy dra Brudzińskiego urządzono laboratorjum i bibljotekę, a obecnie pod nowym zarządem wydatki na te urządzenia są objęte stałym budżetem. W roku 1911 do laboratorjum zaprowadzono prąd elektryczny, zakupiono wirownię elektryczną, dającą do 9000 obrotów i wybudowano stajnię dla zwierząt doświadczalnych drobnych (królików, świnek morskich) i dla badania. Muzeum szpitalne stale uzupełniano preparatami, pochodzącymi z badań pośmiertnych, zabiegów operacyjnych i t. p.

Od czasu przejścia instytucji pod nowy zarząd wprowadzono następujące urządzenia lecznicze: W pawilonie chirurgicznym i salach poszczególnych oddziały dla chorych na oczy i uszy; uzupełniono i powiększono instrumentacje chirurgiczne; zaprowadzono światło elektryczne w salach operacyjnych i opatrunkowych; zaprowadzono prąd elektryczny do oddziału wewnętrznego w celach leczniczych, wreszcie urządzono na 3—4 łóżka pokoik osobny specjalne dla chorych na gruźlicę. W stosunku jednak do znacznej liczby chorych na gruźlicę pokoik ten nie odpowiada jeszcze w drobnej cząstce potrzebom rzeczywistym.

Na uwagę zasługuje między innemi dział pielęgniarski, szpital ten posiada 9 pielęgniarek świeckich. Nadto na oddziale chirurgicznym jest czynna specjalna pielęgniarka, „opatrunkowa“ oraz pielęgniarka „ortopedyczna“ dla instytutu gimnastyczno-ortopedycznego. Ambulatorjum posiada również pielęgniarkę specjalną. Do pomocy pielęgniarkom dodano służbę niższą oddziałową. Wobec braku u nas szkół pielęgniarstwa, szpital musi w większości wypadków angażować pielęgniarki zupełnie bez przygotowania i dopiero kształcić je na miejscu. Oczywiście z tego względu brak im będzie zawsze wykształcenia teoretycznego.

To też ordynatorowie i kierownicy szpitalów naszych wogóle, odczuwając dotkliwy brak odpowiednio przygotowanych pracownic, nawołują społeczeństwo do otworzenia szkoły pielęgniarstwa, w których pielęgniarki otrzymywałyby wykształcenie teoretyczne i praktyczne przy łóżku chorych. Następnie niezbędną jest rzeczą, jak słusznie zaznacza dr. Schoeneich, aby pielęgniarki, podobnie jak czynią lekarze, mogły stale uzupełniać swą wiedzę ciągłem czytaniem, prac specjalnych. W tym celu powinny być wydane podręczniki specjalne, przeznaczone dla pielęgniarek i pisma, lub przynajmniej należałoby życzyć, aby w istniejących już pismach hygieniczno-popularnych jak np. „Zdrowie“, dział pielęgniarstwa i wogóle wiadomości, niezbędne dla pielęgniarek były szerzej uwzględniane.

Szpital Anny-Marji opracował specjalną instrukcję dla pielęgniarek, która mogłaby się przydać dla wielu innych szpitali naszych w całym kraju. Każda jednak instrukcja pozostaje martwą literą, jeżeli nie będzie w szpitalu warunków niezbędnych do wypełnienia przepisów. Jedną z powyższych zasad hygieny szpitalnej jest czystość i porządek na salach oraz czystość łóżek i odpowiednia ilość pościeli i bielizny oddziałowej. Nadzwyczaj utrudnia utrzymanie czystości na salach, przepełnienie szpitala, które, jak w Łodzi, jest zjawiskiem stałem; pod tym względem szpital Anny-Marji miał ogromne trudności, a jednak zdołał je przezwyciężyć i dziś może być wzorem i pod tym względem dla wielu szpitali w kraju.

W ostatnich latach frekwencja szpitala znacznie się zwiększyła; liczba dzieci prawie we wszystkich miesiącach przekracza 100 i dochodzi do 115—120. Otóż w r. 1911 powiększono ilość łóżek do 120, z czego przypada 90 na oddziały niezakaźne a pozostałe na oddziały obserwacyjny i zakaźny. Prócz tego urządzono 10 łóżek dla chorych na szkarlatynę. Jednocześnie trzeba było zwiększyć ilość pościeli i bieliznę, co też zdołano dokonać, dzięki zabiegom komitetu damskiego.

Zatrzymaliśmy się nieco dłużej nad szpitalem Anny-Marji, bo jest on pod każdym względem zjawiskiem pouczającem: jest aktem wysoce kulturalnej pracy i samopomocy społecznej, jest wreszcie objawem bardzo dodatnim w Łodzi, tem ognisku nędzy, cierpień, egoizmu brutalnego, zbrodni, wreszcie wszelkich czynników i czynów wysoce niekulturalnych. Taka więc instytucja, stworzona przez wybitne jednostki a popierana szczerze przez ogół, taka instytucja stojąca na straży zdrowia i życia istot najbardziej zaniedbanych w Łodzi,—posiada pierwszorzędne znaczenie społeczne i uważamy za wielce pożyteczne i niezbędne, ażeby o niej się dowiedział jaknajszerszy ogół i ażeby ona stała się bodźcem i przykładem dla innych ognisk naszego kraju. całkiem zaniedbanych pod względem szpitalnictwa.

Zenon Pietkiewicz.



Femina.

CHARAKTERYSTYKA MODY OBECNEJ.

Kreśląc charakterystykę mody obecnej, przebiegamy mimowoli myślą rozliczne ewolucje, którym ta moda podlegała całym szeregiem lat, zanim doszła do dzisiejszego tak estetycznego i wysoce kulturalnego rozwoju i wyglądu.

Kobieta przeciętna z końca XVIII i początku XIX wieku, posiadała zwykle jedną jedyną suknię *jasną*, na jakieś niezwykłe uroczystości rodzinne — a pozatem nosiła szaty ciemne; nawet za młodu — o kroju wykluczającym w s z e l k i wdzięk i elegancję. W lat trzydzieści kładła workowatą, puszczoną suknię maskującą zupełnie kształty i czepek zasłaniający włosy a będący jakoby godłem małżeńskiego stanu. Starsze i stare panny ubierały się wyłącznie czarno — nosząc żałobę po nieudanem życiu.

Wraz z pojawieniem się ruchu wyzwolenia czyli emancypacji kobiecej, przeistoczyła się i moda, przybierając pseudo — męski charakter. Zjawił się *kostjum* to jest spódnica i żakiet z materjałów zwykle przez mężczyzn noszonych, oraz bluzka koszulowa ze sztywnym kołnierzykiem i mankietami. Do tego noszono angielskie, proste marynarskie kapelusze, w których nikomu nie mogło być do twarzy ale o elegancji i gracji — nikt wtedy nie myślał, o tem nie było mowy — to był drobiazg lekkomyślność — zastąpiony tu rozwojem inteligencji. Ubiór był wiernem zwierciadłem ówczesnych kobiecych ideałów. Kobiety zaczęły sobie przyswajać wiedzę wyższą. Nauki ścisłe — zajmowały się hygieną—medycyną—słuchały kursów, rozpoczęły „walkę o byt". Wiała od nich atmosfera szkoły, szpitala, sal prelekcyjnych; zalotność stawała się zupełnie niemożliwą. Był to okres mody, pozbawiony wszelkiej fantazji i wdzięku, stawał się zupełną negacją estetyki. Tak nazwana „płeć piękna" zapominała powoli i o swej „kobiecości" i o „pięknie" a stylizowała się na neutralności.

Kobiety przywdziały mundury emancypacji — bez względu na wiek lub urodę. Szesnastoletnie podlotki wyglądały jak stare guwernantki, młodzieńcza krasa została posypaną popiołem— wszystko było szare, martwe, bezkolorowe.

I trwało to długie lata...

Szczęściem odwieczne prawa natury mają rozpędowo — wybuchową siłę — dławione i tłumione, zbudziły się jednak do życia, otrząsnęły pleśń i popioły, i zjawiły się w pełnym blasku, młodzieńczym, radosnym!... Kobieta zapragnęła być piękną — zalotną kochaną i pożądaną, bo takie jest j e j przeznaczenie.— Zrozumiała jak wielką w tem pomocą jest dla niej—strój właściwy jak bardzo podnosi wrodzone jej wdzięki — jak mile i sugestyjnie ciągnie ku niej o-



Dawniej — i dziś.





Suknia domowa. Suknia popołudniowa. Suknia t. zw. *Lingerie.*

czy. — I oto, na tym tak bardzo podatnym gruncie, zrodziła się „moda“ dzisiejsza, miła, wdzięczna rozbawiona, rozkapryszona i tak bzegranicznie fantazyjna!...

Przepadły bezpowrotnie dawne bezkształtne suknie i znienawidzone czepki naszych prababek—przepadły sztywne, bezpłciowe i martwe, pół—męskie kostjumy wraz z marynarskimi kapeluszami.— Radosna, moda obecna, stroi kobiety w jasne, przezroczne szaty—odsłania piękne, łabędzie szyje i cudne białe ramiona, pozwala stopom ukazywać się swobodnie i zalotnie—zrównała lata—odsunęła starość na najdalsze mety.

Patrząc w lecie na te śliczne postacie, kroczące szybko przez ulice i ogrody wielkomiejskie, w wąziuchnych—krótkich spódniczkach, wyciętych staniczkach i cudnych kapeluszach, ma się złudzenie, że te wszystkie tak ubrane istoty, muszą być młode i ładne. Dawniej, podlotki wyglądały jak stare panny lub babcie, dziś babcie wyglądają... z daleka... jak podlotki.

Nosi się wszystko to, co się podoba, w czem jest do twarzy, co maskuje niedostatki urody a podnosi wdzięki. Faktem jest, że jeszcze nigdy „Moda“ nie wymagała tak despotycznie, pewnej określonej linji i całokształtu postaci, jak obecnie. Można być nizką lub wysoką, ale trzeba być *szczupłą* — bo grube otyłe kobiety choćby jeszcze młode, *tak* się ubierać jak dziś każe moda — nie mogą. Trzeba mieć ładne, kształtne stopy i zręczne, sprawne ruchy, bo wszelka ociężałość silnie się przy strojach teraźniejszych uwydatnia.

Wogóle można tworzyć sobie o modzie obecnej o jej estetycznej wartości różne pojęcia i sądy ale mimo wszystko stwierdzić należy, że się wyzwoliła z więzów pedantyzmu a wzięła wdzięk i piękność za godło.

Jest ona prócz tego wielostronną, podlega kaprysowi i fantazji jak młodość, jest pociągającą i wesołą a bardzo lekkomyślną, bo liczyć nie chce — nie umie; pozostaje głuchą na wszelkie przestrogi i nawoływania Żyje pięknem wznowionem życiem, wchłonęła w siebie wszystkie narodowości i wszystkie epoki...

Dziś elegancka światowa dama, mieni się jak kameleon i zmienia strój jak wielka artystka w pięcioaktowej sztuce. Przy domowem śniadaniu nosi strój turecki — na obiad przywdziewa tualetę „empire“— na zamiejski spacer kładzie suknię „Biedermajer“, na *Five o'clock'u* zjawia się jako japonka a na wieczór lśni się od złota i kamieni byzantyjskiego kostjumu. W górach nosi specjalny strój sportowy, wprowadzający w zdumienie pasterzów i pasterki — na morskich plażach *rozbiera* się do wszelkich granic możliwości, wprowadzając w zachwyty lornetującą ją ciekawie publiczność — jednem słowem hołduje w pełni ekscentrycznej, rozigranej, swawolnej modzie obecnej.

Utrzymują ogólnie, że moda służy najczęściej do zakrycia pewnych niedostatków osobistych i że w tym celu została przez interesowane w tem osoby wymyśloną. Otóż kobieta, która wymyśliła modę obecną musiała być przedziwnie złożoną, rosłą, smukłą, musiała mieć cudne stopy, śliczne, drobne ręce, musiała być zręczną, zgrabną w ruchach młodej kotki — miała żelazne zdrowie i olbrzymią fortunę... bo to wszystko złożyć się musi na modelową damę, *modern-style* — idącą ślepo, za rozkazami mody dzisiejszej...

Marcèle.





Tualeta balowa. Kostjum krawiecki. Suknia sceniczna.

POGADANKI LONDYŃSKIE.

Miss Cecile jest wojującą sufrażystką.

To znaczy: staje dnia każdego między lunchem a popołudniową szklanką herbaty przy Regent Street i z miną zwycięskiego Archanioła sprzedaje po pensie oficjalny organ niewiast chcących piastować dygnitarstwa parlamentarne.

Miss Cecile nieporównanie kopie footbal, zna boks, dżindżicu, obiła już dwa razy policmana szpicrutą, zwymyślała paru ministrów i namiętnie gardzi wszelką męską szkaradą — pozatem jest moją znajomą — taką miłą, najmilszą Beatrycze, z którą trawię londyńskie niedzielne popołudnia.

Wielce szanuję jej względy—właśnie z powodu tych niedziel, na których myśl, zimno przechodzi skórę każdego cudzoziemca, nie przywykłego do czytania przez dzień cały Biblji.

Jeśliś przezornie nie zaopatrzył się, cudzoziemcze, w prowianty, zemrzesz w on dzień łacno z głodu — gdybyś wybrać się zamierzał na drugą stronę Londynu, radzę, uczyń to już w sobotę — gdy śnisz o rozweseleniu duszy, znękanej całotygodniową pracą, napewno wysłuchasz po drodze kilku kazań o wiwisekcji, lub przygodnie napotkany żołnierz z Armji Zbawienia przekona cię jak na dłoni, iż grzechy twe straszniejsze są od belzebubich.

Wierzę w to najmocniej, iż niedzielę w Londynie wymyśliły kobiety, by obrzydzić gentelmenom samotność i doprowadzić ich do tej melancholijnej ostateczności, w której niepomni skutków, szepcą towarzyszkom w ucho „I Yon love“.

Stanowisko sufrażystek ma swoj wpływ na bieżący tok wypadków — choćby na fizycznej zasadzie o oddziaływaniu na siebie wszystkich ciał w wszechświecie.

Owe jurne ladies, z policzkami koloru grenadiny, zajęte są obecnie arcychrześcijańską misją „Czerwonego Krzyża“.

W tych monotonnych dniach jesieni, gdy mgła wciska się w każdy zakątek mózgu, a smętny nawet policman pod wpływem przejmującego zimna przerabia na ulicy lekcje boksu, zajęcie takie daje dostateczną ilość emocji.

Czerwony krzyż — wojna — mgła i te sentymentalne „christmas puddingi“ wyzierające z okien wystawowych, oto nie skomplikowana całość wojennych nastrojów Anglji.

O wojnie się mówi — naokół, wszędy — skauci kędyś po cichu przygotowują się do matchu z Trójprzymierzem a Wielkobrytańscy gwardziści ze srośzą niż zwykle miną prezentują broń przed Buckinghamskim pałacem.

Groźni jak lwy, kolorowi jak kolibry, zbudowani jak marmury Apollinów.

Właśnie teraz w erze doniosłych spraw europejskich, jeden z doświadczonych jenerałów, co to i na kontynencie nieraz przebywał i jako attaché wysługiwał się po obcych dworach, podniósł projekt wprowadzenia do armji angielskiej nowych, odpowiadających nowoczesnej sztuce wojennej mundurów. Lecz projekt okazał się niemożliwym do przeprowadzenia.

Prędzej wyrzekłby się Anglik marmolady na śniadanie, niż widoku grenadjerów.

Prędzej miss Cecile zrezygnowałaby z togi prezydenta ministrów, niżby miała pozbawić się przyjemności oglądania piechoty szkockiej, świecącej zdala niezbyt szczelnie dopiętemi pończochami.

Naród angielski w pewnych chwilach jest nieustępliwie konserwatywnym.

I tak, jak nie można go przekonać, że Venus z Londyńskiej galerji jest dziełem Velasqueza, jak nie podobna go namówić do nauczenia się choćby jednego języka europejskiego — tak samo—daremny byłby trud silić się na wykazanie mu, że ta przedziwnie kolorowa jego armja nie wchodzi wcale w europejską rachubę, nawet w czasie orężnego sojuszu Trójporozumienia.

Z tej więc narodowej wstrzemięźliwości dla wszelkich nowinek, cała sztuka współczesnej Europy jest shocking, a literatura obca zgoła już wychodzi poza kresy angielskiej świadomości.

Po ostatniej wystawie futurystów, urządzonej z taką nieporównaną emfazą włoskich kondotjerów, przyszła kolej na sztukę francuską i rosyjską. Więc kubiści, Mathis, Van Dongen i cała reprezentacja po impresjonistycznej sztuki nawet z tymi przedziwnie stylizowanymi na Włochach i Holendrach prymitywami.

W Anglji sztuka nie jest psychiczną koniecznością, to raczej igraszka „High-lifu“, coś pośredniego między „bussinessem“ a przyjemnością.

Artysta ucieka stąd na kontynent, jeśli nie chce zniżyć aspiracji.

Uciekają stąd wszyscy po kolei — uciekł Byron, Shelley, uciekał Whistler, Burne Jones i Rosetti. Uciekają: Shaw, Conrad (Korzeniowski) Graic, a nawet ostatnia nimfa Isadora Duncan woli Paryż, niż mglisty Albion.

Na polu zostają niedobitki.

W porze rozsyłania Christmas puddingów przyjaciołom do kolonji, gdy cały tętent życia kryje się po zacisznych buduarach a pierś wdycha przenikliwe opary Tamizy, jedyną pociechą jest książka.

Ta nieodłączna towarzyszka zimowych mroków zdawna cieszy się szczególną troską i pieczołowitością. W żadnym kraju kultura książki nie doszła do tego stopnia wyrafinowania co w Anglji.

To nie są już pragnienia estetyczne, lub upodobania bibljofilskie, ale kokieterja kochanki, chcącej w buduarowej samotni pozyskać jaknajwięcej łask i pieszczot najmilszego.

Właśnie przy „Lei cester Square“ w pobliżu tak zwanego „francuskiego zakątka“ odbywa się wystawa dwu najwybitniejszych współczesnych ilustratorów Mr. Rachhama i Maya.

Beardsleyowskie tradycje, to zasadnicza cecha dzisiejszego zdobnictwa angielskiego. Jest ono najdoskonalszym wyrazem tej przedziwnej

finezji narodu, który wybudował strzeliste wieże Westminsteru i podziemia przy Tower Brigde. Rackham i May mają wszystkie wady i wszystkie zalety angielskiej sztuki.

Więc swobodę, wytworność, zdrowie, poczucie harmonji i doskonałe opanowanie stron technicznych rysunku.

Książka wyszła z ich pracowni, jest arcydziełem dobrego smaku — ale nic więcej — nic więcej nadto.

A jednak na bajkach Ezopa, zdobnych ołówkiem Rackhama, na tych prześlicznych opowiadaniach Barriego „Peter Pan in Kensington Gardens” ilustrowanych ręką wytwornego artysty wychowuje się młode, krepkie pokolenie—co to i złemu zajrzy w oczy bez trwogi i nie ulęknie się przygód wuja Toma.

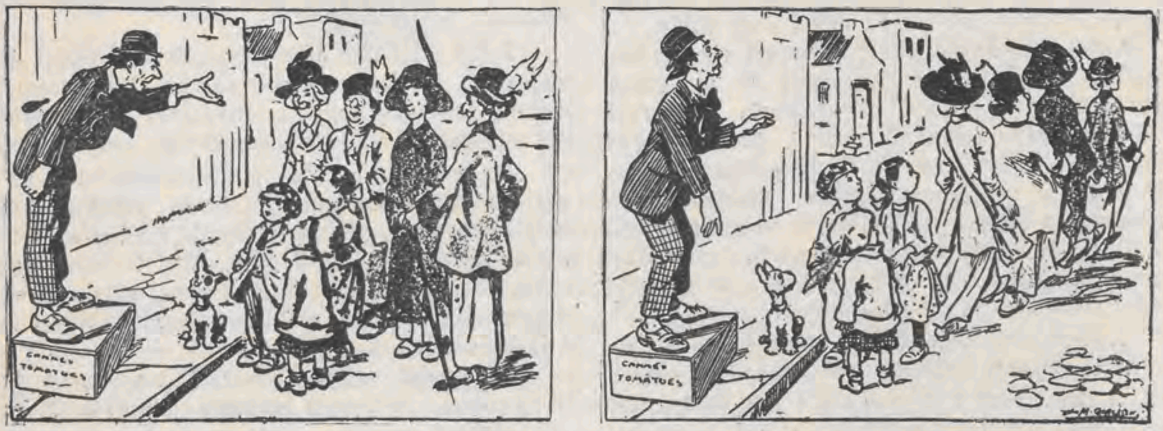
Gdybym zrządzeniem Najwyższych Losów mógł sobie życie układać i gdybym zmielon na kole metampsychozy raz jeszcze przyjść miał na świat, dzieciństwo chciałbym spędzić w Anglji, wiek męski na polskiej rubieży — kędy długie szpalery lip przydrożnych, kędy chylą się ku ziemi pszeniczne kłosy — na starość zaś ku włoskim cmentarzom skierowałbym kroki.

Szczęśliwy naród, którego dzieciom, własna królowa nic już więcej dać nie może, prócz zabawek na choinkę.

Szczęśliwe dzieci, bo otacza je pietyzm narodu.

Witold Bunikiewicz.

Zmiana frontu — czyli wojownicze sufrażystki.



Tak, moje panie, jestem za prawami kobiet i za ich wolną wolą!

Lecz nie jestem za... bezprawiami kobiet i za ich... samowolą!

Zęby z sewrskiej porcelany.

Wielka manufaktura porcelany w *Sèvres*, we Francji, wezwała odnośnych specjalistów, którzy zaczęli wyrabiać sztuczne zęby z najpiękniejszej tamtejszej porcelany. Wkrótce będzie to szczytem kokieterji ukazywać w powabnym uśmiechu koralowych usteczek, tę porcelanę, która dotąd służyła do wyrobu wspaniałych dzieł sztuki.

Wspomnienia ametystu.

W jednem z paryskich muzeów znajduje się kamień przecudny. Marzyła o nim sławna pani Recamier. Napoleon I ofiarował go pięknej hrabinie Walewskiej, która go przekazała swemu synowi, tak bardzo podobnemu do Wielkiego Cesarza. Hrabia Walewski obdarzył nim znakomitą tragiczkę Rachel, w dowód swego dla niej uwielbienia. Artystka ofiarowała go swemu lekarzowi p. Guillaume. Dziś wspaniały ten ametyst, spoczywa w kąciku gablotki — a w blaskach jego mienią się jakoby zaklęte czary wszystkich przepięknych oczów, które na niego tak długo patrzyły...

Klub brzydkich kobiet.

W Warszawie byłby on niemożliwym. Dlaczego? Bo w Warszawie niema brzydkich kobiet. Jakto?.. W Warszawie są kobiety lepiej lub gorzej ubrane — ale żadna nie przyznaje się do brzydoty. Tak samo i w Paryżu. W Ameryce dzieje się przeciwnie. Brzydkie kobiety chlubią się swoją brzydotą — i oto, w Czikago założyły klub złożony z 365 pań (tyle, ile dni w roku) i spędzają w nim wieczory na obgadywaniu kobiet ładnych. Ładne kobiety w zamian obgadują brzydkie no... i wszystko jest dobrze w najlepszem na świecie mieście.

Odpowiedzi i rady poufne dla Pań.

Wandzie z Podola. Niema nic szkodliwszego dla skóry nad złe mydło. Dlatego też polecamy Pani wypróbowane mydło paryskie „**Floréine**“. Pod względem chemicznym jest to mydło zupełnie neutralne t j. nie zawierające nadmiaru alkalji, drażniących zazwyczaj skórę; pod względem zaś leczniczym jest to w całem tego słowa znaczeniu przetwór hygieniczno tualetowy, mający obszerne zastosowanie w praktyce kosmetycznej jako artykuł codziennego użytku.

Pani L. K. Z lepszych pudrów paryskich wyróżnia się puder „**Floréine**“ jako bardzo subtelny, dobrze przylegający do skóry i zupełnie niedostrzegalny Kolory: blanche, rachel, naturelle i rose. Dla cery Sz. Pani najbardziej odpowiada kolor „rachel“.

Madame „Jeanine“.

LITERATURA NASZA I OBCA

POEZJE, POWIEŚCI, NOWELE I OPOWIADANIA.

MARJA RODZIEWICZÓWNA.

3)

Czarny chleb.

A w szarej chacie na pustkowiu, obcy przybysz leżał na ławie bez ruchu, bez woli, bez siły nawet do myśli porządnej. Gdy chłop odjechał — przez sekundę żałował, że wysłał to pytanie bezsensowne, ale odwołać, cofnąć nie miał siły. Potem zapadł napowrót w jakiś letarg. W uszach słyszał jakby słaby szmer sypiącego się powoli piasku, przez powieki zamknięte widział coś, jakby otchłań szaro-burą—pociętą brudno krwawemi kreskami — w ustach czuł cierpką gorycz.

Ręce, nogi, głowa zdawały się ciężkie jak ołów, niezdolne do ruchu, chwilami tylko, odczuwał w ciele dreszcz — a w mózgu zawrót — i znowu nic — nic — nic!...

Aż z tego śmiertelnego odrętwienia zbudził go szelest u okna, furkot skrzydeł ptasich i świergot. Podniósł ciężkie powieki. Przez stłuczoną szybę wpadła do izby sikora. Goniła owad jakiś i przerażona poczęła rozpacznie tłuc do szyby, do słońca, do swobody. Za oknem odpowiadało jej wołaniom ćwierkanie towarzysza; zawtórował też z pod strzechy pisk niemowląt.

Człowiek przyglądał się i odczuł w mózgu uderzenia ptasich piersi o taflę szklaną— bólem. I zdźwignął się z ławy, chwilę siedział, pasując się z okropną niemocą — wreszcie wstał, podszedł do okna — otworzył.

Sikorka z radośną pieśnią śmignęła na wolę, a ze dworu sunęło do izby, wonne, letnie powietrze i rzeźwość rzeki.

Człowiek nie wrócił na posłanie — usiadł na ławce, podał swą zbolałą głowę tej fali słońca, ciepła, mocy natury, i ogarnął go sen.

Matka ziemia głaskała go miłosnemi dłońmi, kołysała szeptaną gadką traw, szuwarów, poszumu boru, mruczenia pszczół dzikich, bartnych i niefrasobliwego ptasiego szczebiotu.

W słońcu rozgrzane balsamy i żywice woniały, a błękit spokojnego nieba, wszystkie tony zieleni łąk i łóz — zabarwiły widmo oczne, starły szarość i błotną krwistość poprzednią.

A w uszach zapanowała majestatyczna nuta fa — królewska nuta przyrody.

Słońce zatoczyło wielki swój letni łuk, i ubrało się w czerwień, gdy głos ludzki zbudził śpiącego.

— Panie, jasny panie, telegrama.

Chłop stał nad nim z papierem w ręku.

Zdaleka, jakby z zaświatów, wrócił duch do jawy, nierozumiejący, bez wiedzy. I nagle jak łuna pożaru objęła błękitne widziadło. Sięgnął ręką po tę wieść grozy, i nie czytał. Poco? — zabił człowieka, przyjaciela — umarł — poco pytał o ten pogrzeb— poco? poco? A chłop układał na stole miedziaki i mówił.

— Może pan się poswarzy, ale ja kupił herbaty i wypił wódki — niedużo za półzłotkę a potem się skusił jak zobaczył u stróża swieży chleb — i wziął za całą złotówkę, a tu wszystka reszta.

Na koszlawym stole położył wielką skibę razowca i nakrył go z uszanowaniem płachetką zgrzebnego płótna.

Potem zaczął rozpalać ogień i gwarzył.

Chleb jeszcze mam, ale już miesiąc jak leży w sieni na półce i skwitł — a ten to prosto z pieca. Probowałem — smaczny na dziwo. Zaraz nagotuję zacierki — panu pewnie strasznie głodno. Ale chwała Bogu, że już pan zdążał wstać.

— Mówiłeś komu, że ja tu jestem?

— Nie. Nikto nie pytał. Panże nie tutejszy.

— Nie korciło cię gadać?

— A poco. Żeby pan, broń Boże, pomarł, toby mus był oznajmić — a jak pan żyw, to czy ja głupi pleść, policję jeszcze sobie na głowę ściągnąć.

— Myślisz pewnie, żem rad, żeś mnie uratował.

— Nie? zdumiał chłop.

— Chciałem zginąć! Rozumiesz?

Chłop popatrzał nań długo — głową pokręcił.

— Tak na pana coś naszło. Aaa... Śmierć sobie pan chciał zrobić. Taki dur! Musiał pan mocno się napić, rozum stracić.

— Nie chcę żyć. Nie będę!

Jak sądzono żyć, to trza, i ile sądzono. Śmierć sama przyjdzie, nie wolno z niej kpin stroić. Nie chce—to nie weźmie. A pan jeszcze kiedy mnie podziękuje, żem z wody wyciągnął. Pan młody — nie pora zgnić!

Niech panu nie będzie obraźliwe moje słowo ale u nas we wsi dwuch się powiesiło — a te dwa — to durnie były i hultaje.

— A byli u was, we wsi, tacy coby innego człowieka zabili?

— Byli, czemu nie. Każdy człowiek jak się rozeźli — śmierć życzy drugiemu. Jeden Boga się boi, drugi sądu — a inny jak się zapamięta, to wali w łeb — i koniec.

— To taki jak się nazywa?

— Rozmaicie. Jak co warte — złości i bitwy.

— A co warte?

— Ot za ziemię — jak sąsiad zaorał — warto bić. Złodzieja końskiego warto — za swoje, własne, jak kto weźmie.

— A za kobietę?

— Jakto za kobietę? Czy to ona nieżywa, czy zwierzę, co ze stajni, po nocy wyprowadzą. I za babę człowieka zabić — to głupi grzech. Chłopcy się czasem o dziewkę pobiją — to już znak, że dziewka gałgan, latawiec — a już za żonę — żeby się człowiek złił na drugiego, to czysta napaść. Babę sprać — to racja — boć bez jej woli się nie dzieje. Takiego zabójstwa u nas, we wsi nie było. (d. c. n.)



3) WŁODZIMIERZ PERZYŃSKI.

Wybraniec losu.

Pewnego dnia do jego celi wpadł adwokat z rozpromienioną miną.

— Niech mi pan podziękuje!—zawołał wesoło od progu.

Mizerski spojrzał na niego niespokojnie. Intuicyjnie przeczuł coś niedobrego.

— Uratowałem pana — ciągnął podniesionym tonem adwokat. Koszula i mankiety szyte są na jakiegoś olbrzyma cztery razy większego od pana. A więc nie mogły do pana należeć. Przyzna pan, że kto inny nie zwróciłby na ten szczegół uwagi. Cóżeś pan tak zbladł... Nic... nic... mruknął Mizerski.

Bladość jego wynikała ze wzruszenia, ale innego niż przypuszczał adwokat. Rzeźbiarz uląkł się poprostu rehabilitacji. Tak był rozczulony serdeczną sympatją społeczeństwa, że uważał za nie zgodne przyzwoitego człowieka narażać je na rozczarowanie. Po wyjściu adwokata miał ochotę wyrzucić wszystkie kwiaty z celi. Etyczna jego natura nie mogla znieść myśli, że nadużywał czyjejś naiwnej dobrej wiary.

V.

Gdy szczęście zacznie komuś sprzyjać to już mu sprzyja stale. Z powodu braku dostatecznych dowodów winy sąd uwolnił Mizerskiego, ale opinja publiczna nie potwierdziła wyroku. W dalszym ciągu uważano go za mordercę staruszki. Nazajutrz po wypuszczeniu rzeźbiarza z więzienia zjawił się u niego pewien przedsiębiorca kinematograficzny i zaofiarował mu 100,000 rubli za pozowanie do obrazu p. t. „Erotyczna zbrodnia“. Mizerski jednak z oburzeniem propozycję tę odrzucił. Zbyt był dumny aby się pospolitować w kinematografach, a na jakieś sto tysięcy rubli łakomić się nie potrzebował, gdyż dzieła jego opłacano na wagę złota.

Dzięki temu po pewnym czasie mógł sobie kupić wspaniałą willę z olbrzymim ogrodem. W ogrodzie znajdował się ustronny pawilon, który rzeźbiarz przemienił na pracownię i tam, w samotności tworzył dzieła przyjmowane przez krytykę z bałwochwalczym entuzjazmem. Owóż pewnego razu, już pod wieczór, gdy Mizerski był sam

w pracowni zapukano nagle nieśmiało do drzwi. Rzeźbiarz otworzył drzwi i cofnął się niespokojnie. W progu stał jakiś wysoki drab o podejrzanym wyglądzie.

— Czego chcesz? — krzyknął Mizerski starając się ostrym tonem głosu pokryć zmieszanie.

Drab jednak nie okazywał bynajmniej napastniczych zamiarów. Przeciwnie zachowanie się jego było raczej nieśmiałe i pełne pokory. Stał z oczami utkwionymi w ziemię a na wynędzniałem jego obliczu malowała się jakaś głucha walka wewnętrzna.

— Czego chcesz?...—powtórzył już spokojniej Mizerski, ale przezornie przybliżył się do półki, na której leżał rewolwer.

Tajemniczy przybysz westchnął głęboko i po chwili odezwał się przytłumionym głosem.

— To ja jestem zbrodniarz.

Mizerski zbladł.

— Jaki zbrodniarz?—zapytał, udając że nie rozumie odezwania się tamtego, choć przeczuwał już o co chodziło.

— To ja zamordowałem staruszkę. I ja podrzuciłem panu tę koszulę i mankiety. Otworzyłem wtedy podrobionym kluczem drzwi i dostałem się do pracowni — mówił zbrodniarz przerywanym, płaczliwym głosem. Ale sumienie nie daje mi spokoju.

— Przecież mnie uwolnili — mruknął opryskliwie Mizerski.

— Tak, ale wszyscy podejrzewają pana o tę zbrodnię. A ja nie mogę znieść myśli żeby taki człowiek jak pan, taki artysta...

Rzeźbiarz nie dał mu dokończyć zdania.

— Co chcesz zrobić - krzyknął drżącym głosem.

— Wyznać publicznie wszystko.

Mizerskiemu pociemniało w oczach. Ale poczucie niebezpieczeństwa dało mu jakiś błyskawiczny dar orjentacji. Pracownia stała w ustronnym kącie ogrodu, nikt nie mógł słyszeć huku... Chwycił za rewolwer, wymierzył i zastrzelił natręta jak psa.

KONIEC.

Z III-ej serji poezji.

ZAHARTOWAŁY MĄ DUSZĘ...

Zahartowały mą duszę
Wichury, gromy, zawieje,
Na wszelkie losów koleje,
Na wszelkie życia katusze...

Na szron, co liśćmi snów sieje,
Na słoty życia i susze.
Zahartowały mą duszę
Wichury, gromy, zawieje...

Dziś, mocą woli swej głuszę
Ból, co słabości łzy leje,
Piersią zapory skał kruszę
Z wszelakich przeszkód się śmieję!..

Zahartowały mą duszę
Wichury, gromy, zawieje...

Wiktor Dzierżanowski

MICHAŁ CZAJKOWSKI — SADYK-PASZA.

11)

ZARAZA.

Kiedyśmy przybyli na czaty, na granicę grecką, w Agrafie nad Aspropotamem [52]), znowu stawała przedemną Polikaria, z błyszczącem słońcem nad czołem, z rzekami korali we włosach, w czarnych brylantach był półuśmiech raczej smutku niż wesela, a zawsze ściskała jatagan, jak gdyby chciała w żelazo wpoić palce— i to była Emina. Takem przywykł do tej zmory, że mi się stała chlebem powszednim i że bez niej nie mógłbym żyć, jak bez chleba powszedniego.

Nareszcie, co przeznaczone to się stać musi— po latach wielu wchodziliśmy do Islambolu, zbrojnie i strojnie. Żelazny sotnik na Delim (szalonym) koniu jechał po przodzie, oj sotnik, to sotnik, godzien wodzić słowiańskie sotnie. Ja wiozłem buńczuk, pół biały, pół czerwony, barwy srebrnego Archanioła na malinowem polu, a za nami płynęła jak woda, sotnia na białych koniach, chłop w chłopa, momaki słowiańskie, koń w konia dżamety arabskie — trębacze grali i ty Babo Dymitri z nimi, wszyscy się dziwowali jakieśmy maszerowali, bo też było się dziwować czemu.

Na Dołma bakcze wykrzyknęliśmy: Długie lata Padyszachowi! — i szliśmy przez Tophane na nowy most. Na moście tłum ludu, gdyby gwiazdka spadła z nieba, na głowach ludzkich by się zatrzymała a nie dostała ziemi. Konie szły jak woły w pługu, odrzucając skiby żyjącego ludu na lewo i na prawo, a zewsząd dolatują głosy:

— Hanumę powieszono! Zabójcę ścięto!...

Nic dziwnego, w takim grodzie, gdzie miljony ludzi, są i dobrzy, są i źli. Ścinali i wieszali dawniej, wieszają i ścinają teraz—a jednak mi serce drgnęło i tak dygotało, jak gdyby chciało się wydrzeć z łona, chwyciłem się za drzewce buńczuka, żeby nie zlecieć z konia, a patrzę okiem ponad głowy tłumu.

Na tym samym majdanie, na którym przed laty, przed mojem okiem pędziła kareta, ciągnięta siwo-jabłkowitymi końmi, z Eminą, wisi Hanuma, w jaszmaku na licu, w Feredzji czarnej, w żółtych papuciach [53]). Oczy moje utkwiły w postaci wiszącej, ale przejrzeć gruby jaszmak nie zdołałem — drżenie febry mnie opanowało, drżałem jak liść osiki, ja hajduk, ja junak, ja kozak.

Już zjeżdżaliśmy z mostu, tłum rozsunął się zrobił miejsce dla jazdy, wtenczas pod szubienicą ujrzałem wyraźnie trupa przewróconego na brzuch, z odciętą głową i tę głowę między nogami [54]), turecki to zwyczaj, obok niego jatagan, narzędzie zbrodni, jatagan to mój, mój krwawnik, moje żelazo — głowa to Czarnego Tanasza; poznałem ją dobrze, to ona. I w tejże samej chwili wicher jakby naumyślnie, z głowy wiszącej zerwał jaszmak, to ona, to Emina. Krucze włosy ale w nich ani słońca, ani rzek koralowych i czarne brylanty oczów zamknięte śmiercią. To ona, to Emina...

Pazury prawej ręki wszczepiłem w drzewco buńczuka, lewą rękę z cuglami przykleiłem do kulbaki i takiem się trzymał, wyście mnie podtrzymywali i dojechałem do koszar.

Nie złożyła mnie choroba, stałem na nogach i słuchałem, jak opowiadano o wielkiej zbrodni, o zbrodni dotąd niesłychanej w Islambolu. Hanuma, żona Ibrahim Paszy, wielikarza sułtańskiego, Feryka zamordowała męża swego i to jak — kiedy pasza powszednim obyczajem opity wódką i winem, zwalił się na łoże, córka jej szesnastoletnia wzięła ojca za głowę, syn czternastoletni za nogi, i nogi ojcowskie trzymał, Hanuma przybrana w brylanty i w korale, siadła mężowi na brzuchu, a Czarny Tanasz przyzwany, moim jataganem piłował po szyi, póki głowy nie odpiłował od ciała.

Kiedy na słabe krzyki weszli ludzie ze dworu, już było po wszystkiem — ciało Ibrahim Paszy na podłodze leżało osobno, a osobno głowa, z jataganu krew kroplami po kroplach ściekała. Czarny Tanasz przy drzwiach przykucnął na kobiercu, głowę wtłoczył w dłonie żeby nic nie widział. Syn poprawiał fez na upiłowanej głowie ojca a córka ściągała buty z martwych ojcowskich nóg. Hanuma siedziała na dywanie, z błyszczącem okiem, z zaiskrzonem licem, dzika jak lwica a piękna jak Królowa świata.

Tak zastali, kiedy Seraskier z innymi dostojnikami weszli do komnaty, Hanuma nie czekając zapytań, przemówiła głosem wolnym, rwanym, ale dobitnym:

— Ja, córka Beja, żona Paszy, matka Beja i Hanumy, wiernych wyznawców Islamu, kazałam zamordować pijanicę, który przekraczał zakaz Koranu, bezcześcił paszowską godność i był zakałą Islamu. Ja, Hanuma, pani wszechwładna w haremie, kazałam i rozkazy moje były spełnione. Ja odpowiadam a nie inni. Niech mnie sądzi Szeik Islam i podda swój sąd pod wyrok Kalifa Islamu.

Wstała i wyszła z synem i córką do innej komnaty, nikt ich nie zatrzymywał, nikt słowa nawet nie rzekł.

Sprawa się zaczęła. Szeik Islam Fetwy [55]) odmówił, na karę śmierci nie zasługiwała według szeryjatu. Broniła przepisów Koranu, ukarała grzesznika Islamu. Była panią w swoim haremie. Więc była w swojem prawie, według szeryjatu.

Ale u władzy byli ludzie Tanzymatu, mieli haremy, nie trzymali się ściśle przepisów Koranu, obawiali się złego przykładu i Hanumę skazali na śmierć przez powieszenie. Syna i córkę na wieczne wygnanie i więzienie, a Czarnego Tanasza na ścięcie.

Dla dobra społeczeństwa kalif musiał ustąpić przed sułtanem — i wyrok został wykonanym według Tanzymatu. Hanuma była zaduszoną w więzieniu a potem powieszoną. Czarny Tanasz ścięty moim jataganem. I tak się skończyło.

W kilka dni później przyniesiono mi mój jatagan, ten sam, który mam przy sobie i stuknął dłonią po krwawnikowej rękojeści.

Widać taka wola była Hanumy, w godzinie śmierci przypomniała sobie o hajduku, o Kiuczuk Mustafie. Zimno mi przeszło do kości, kiedym brał w dłoń ten jatagan i teraz mi zimno kiedym go dotknął. Mów Raczyc twoją bajkę, będę słuchał żeby się rozgrzać. O Emino, ona idzie do mnie, jaka piękna, jaka błyszcząca, jak święta Pańska, jak królowa szatańska! Raczycu mów, bo ona idzie i dosłuchać mnie nie da a mnie zimno. Mów! ona idzie, nasunął kaptur na głowę, owinął się w burkę, mów kozacze, będę słuchał, i przytulił się do ziemi...

KONIEC.

---

[52]) Aspropotam — rzeka nad granicą grecką — nie głęboka, ale bardzo bystra, przez nią jest rzucony most z jednej góry na drugą—sto dwadzieścia sążni długości, półtora szerokości. Według arnautów, wysokość odległości od rzeki jest na dwadzieścia minaretów, każdy rachują po 50 sążni, więc 1000 sążni. Most ten nazywa się Kurako, łączy on Agrafę z Radowistem, prawdziwą Wandeję grecką—stawiany był przez Rzymian i dotąd żaden kamyk się nie obruszył, tak cały jakby wczorajszego dnia był postawiony—ludzie piesi przez ten most chodzą, osłów tamtędy obawiają się przeprowadzać. Kozacy i dragoni sułtańscy przez ten most całymi szwadronami przechodzili i nigdy nie było żadnego niedobrego wypadku, to przechodzenie otoczyło urokiem to wojsko sułtańskie i było mu wielką pomocą do zaprowadzenia porządku na granicy i przecięcia zabójstw, o których nie słyszano przez trzy lata straży kozaków i dragonów.

[53]) Przywilej kobiet muzułmanek nosić żółte papucie, innych wyznań kobiety nie mogły nosić tej barwy.

[54]) Zwyczaj wystawiania trupów ściętych chrześcjan i nie muzułmanów.

[55]) Zbrodnia popełniona — odwołanie się do szeryjatu, zdanie Szeik Islama, sąd Tanzymata i wykonanie wyroku, są tak oddane jak się stały. Mnodzy przytomni temu okropnemu wypadkowi żyją jeszcze w Konstantynopolu i w całej Turcji.

KAZIMIERZ GLIŃSKI.

49)

STARE LWY.

POWIEŚĆ.

XII.

A żórawie płynęły jednym, długim, nieprzerwanym łańcuchem. Może o tej samej godzinie, z jednakiem uczuciem trwogi i niepokoju, oczy Maryny i Jasieńca podnosiły się ku tym wędrowcom niebieskim, z górnego ich lotu szczęście wróżąc. Z błękitów spadał jęk, niby jęk dzwonów rozpłakanych, jakby w wielkiej świątyni niebios rozpoczynała się uroczysta Msza wiosny. Grały dzwony i dzwonki, szmery i klekoty — bo rozbudzał się świat. Poruszyły się potoki huczne, grzmiące, poruszyły się z szałem ludów, wyzwalających się z pęt niewoli. Potargały więzy, nałożone przez zimę-gwałcicielkę, dech wolności rzuciły w przestworze. Na grzbietach spienionych fal unoszą się bryły lodowe; piętrzą się, szumią, grzmią, zsiniałe od walki beznadziejnej. Ustępuje przemoc przed wielkiem tchnieniem swobody, przed wyzwoleńczym buntem sił, świadomych już swej potęgi. Pęcznieją ziarna nasienne, ukryte w łonie ziemi, jak w sercach ludzkich idee odrodzeń. Nikłe, wątłe kiełki ziół traw i zbóż rozsadzają bryły stwardniałe, groźne w swym bezruchu lecz i bezsilne zarazem. Wstępnym bojem zdobywają szańce nagie, okrywają je sztandarami zieleni, ocierają się o pnie lasów, tych arystokratów ziemi, spóźniających się zawsze z każdym ruchem wyzwoleńczym, aż i one porwane wichrem życia, umają się, zakołyszą i potężny swój głos do ogólnego przyłączą hymnu. Wtedy się porwie grom, drzemiący w chmurach... i zagrzmi i błyśnie piorunem, niby ostatni akord pieśni zwycięskiej.

Pod oknem sypialni pani Dominiki, biała rosła czeremcha... Zaśnieżył kwiat na niej, miodową woń cisnął do wnętrza pokoju i pierwsze dźwięki piosnki słowiczej.

Porwała się z łoża i podbiegła do okna. Zdziwił ją ten ruch szybki, kroków jej własnych. Czuła się silna i zdrowa — tylko to serce szalone... tylko ta pierś!.. Wsparła się o ramę okna i wdychała pieśń, woń i ciepło...

— Ach! jak pachną, jak pachną! — wołała Perełka, wychylając się przez okno otwarte.

W tej samej chwili, w otwartem oknie baszty południowej stanęła Maryna. Piękna była, jak ony czar wiośniany, lecz smutek bolesnych przeżyć dookoła niej krążył cieniem widomym. Nie czuła nawet tych ułud, co biedna, chora pierś pani Dominiki, choć ogarniał i ją żywiczny zapach lasów, choć od gwaru ptactwa powietrze klekotało a w ucho wlatywał miłosny śpiew słowika. Biły dwa serca, dwie myśli biegły w dal — i kto wie, czy te dwa prądy tajemniczych a nieznanych sił, nie uderzyły o siebie u murów Smolenia i cichej walki nie zwiodły?... Maryna czuła, jakby coś przerwało swobodnie płynącą nić jej marzeń — to samo uczucie i pani Dominika miała. Dwie fale oparły się o jakąś zaporę, niewidzianą, lecz wrażeniowo odczutą. Prą się, walczą, zmagają się serc kołataniem. Trwoga wzrasta, niepokój się zwiększa — dwie piersi dyszą, zmęczone, zbolałe, nie wiedzące nic o stoczonej daleko walce myśli.

Opadły ramiona Maryny —

Opadły ramiona pani Dominiki — —

Cofnęły się fale tajemnicze... W oczach, niewidzących siebie — błysnęły łzy.

Jasieniec czuł dziwny niepokój. Niewidzialne siły oddziaływały nań drażniąco. Błądził po lasach, bo nie mógł wytrzymać w zaduchu izb smoleńskiego zamku; szybki a tryumfalny pochód wiosny wyprowadzał go z równowagi i tajną trawił gorączką. O zapadającym zmierzchu zbliżał się pod same niemal mury Ogrodzieńca, choć wiedział, że Przemka nie zobaczy. Do piątku było dni cztery jeszcze, a wiosna wszystkimi czarami otulała już świat, a lada chwila blaskiem miesięcznym osrebrzy się dolina pod zamkiem, dziewczęce rozpoczną się pląsy. O tym dniu ma go zawiadomić Przemko, o tym dniu powinna wiedzieć pani Dominika i czekać na zbawcę. Parę poprzednich spotkań się z Przemkiem, choć niosły pociechę, bo mówiły mu o zrozumianej już bajce przez

wojewodzinę i oczekiwanym przez nią, znaku wyzwolenia — pewnym jednak niepokojem napełniły serce rycerza. Nie dopatrzył spodziewanego ognia w słowach Przemkowych, może dlatego, że sam, jak stos płonął, że pragnienia wyprzedzały czas leniwy, ale, zdawało mu się, że Przemko z przymusem jakimś spełniał już dziś zobowiązania przyjęte; że jakiś ciężar w sercu swem nosił, choć ukrywał w sobie to wszystko, o co go podejrzewał Jasieniec. Nie pytał jednak o ile te domysły prawdziwe były; tłumaczył je przywidzeniem własnem, tą gorączką pragnień szybkiego spełnienia się marzeń, którą mógł zrozumieć, lecz odczuć nie mogł umysł pacholęcy.

Nie było to jednak przywidzenie — —

Powolna, lecz widoczna zmiana zachodziła w uczuciach chłopca.

Od chwili onych gonów myśliwskich, podczas których drżąca ręka wojewody spoczęła tak pieściwie na głowie Przemkowej, a usta czoła dotknęły — jakaś nić rzewna wysnuła się z piersi młodzieńca i połączyła się ze starem, samotnem sercem, pana Mikołaja. Tchnienie ciepłe owiało pierś pacholęcą, błogosławiony wiew rozwalił mur złych uprzedzeń. Ten starzec miał serce i serca zapragnął. Upewniło go o tem i późniejsze postępowanie wojewody, opowieści zaś o sławnym rodzie Włodków, ich czyny chwalebne i miłość ojczyzny, tylekrotnie naznaczona czerwoną pieczęcią krwi — rozpaliły umysł młodziana i kazały czcią otoczyć tego spadkobiercę wielkiego mienia i imienia. W tych opowiadaniach starego wojewody nie było pychy i chwalby próżnej; mówił niby o sobie i swoich a jednak coś odrywało się od tych mężów krwi i żelaza, imioniskami swojemi wypełniającymi przeszłość Polski—i przylegało do serca i duszy Przemkowej, jako i jego własność, cząstka i jego istoty. Tak opowiadających nie słyszał dotąd, nie zrastał się tak nigdy z baśnią żadną, tak skwapliwie chwytaną nieraz przez umysł dziecięcy, jak z temi dziejami przeszłości... nie jego, a jego!

(d. c. n.)

L. COUPERUS.

DUSZYCZKA.

(Z holenderskiego).

Mały Karol miał siedem lat i najczęściej bywał sam jeden z boną. Siostry jego i bracia byli zbyt dorośli, aby się nim zajmować i, pomimo, że dom cały był bardzo ożywiony, Karolek pozostawał odosobniony i sam jeden ze swojemi maleńkiemi myślami i maleńkiemi marzeniami.

Siostry jego bywały na balach i często Karolek wieczorem widział je zdenerwowane, śpieszące, powiewne, eteryczne, gdy Lina, bona, pomagała im to tutaj przypiąć wstążkę, to tam przyszpilić agrafkę. Wtedy pokój dziecięcy zapełniał się na chwilę wibrującą muzyką ich głosików i śmiechów i towarzyszącemu im szmerowi balowych tualet.

Jeden z braci, ze względów na swój kostjum przypominający czarnego chrząszcza o białej piersi, wpadał po nie i zabierał je co prędzej. Wybiegały wtedy w atłasowych pantofelkach, lekko, niby motyle...

Jakże po ich wyjściu było pusto, ciemno, samotnie!

Karolek natychmiast kładł się spać i po całych nocach śnił o wróżkach pięknych, jak obrazy, o wielkich chrabąszczach i motylach, które, jak magiczne pantominy na kiermaszu, tańczyły w bengalskiem oświetleniu.

Inni bracia uczęszczali do wyższych zakładów naukowych i do gimnazjów, które Karolek wyobrażał sobie, jako coś gigantycznego, gdzie profesorowie byli bardzo surowi, wszystko umieli i zadawali niezmiernie dużo lekcji do domu. Wiedział, że bracia mają wiele książek i kajetów, a także ogromne atlasy, z których musieli kopjować kraje całego świata, wraz z górami, podobnemi do koników, z morzami o niebieskich linjach falistych i miastami, w postaci kółeczek i kropek. Z zawrotem głowy i drżeniem myślał, że wkrótce nadejdzie czas, kiedy sam będzie musiał być tak zręczny, jak oni. To też, jak umiał najlepiej, przygotowywał codziennie lekcję dla p. Suela, swego nauczyciela i utrzymywał w czystości swoje kajety. Czasami przepisywał powinszowania na urodziny dla taty i mamy, a przepisywał na ślicznych arkuszach, z bukietami po rogach, w złoconem koronkowem obramowaniu; wykonywał wielkie litery zaokrąglone, to pochyłe, które biegły po linjach na prawo i na lewo, jak pijane pająki lub młodzi rekruci na manewrach.

Mapy, które widział u braci, wywierały nań wielkie wrażenie. Obszerny pokój dziecięcy w jego wyobraźni był całym światem: stół, który Lina przykrywała białą serwetą, był to grzbiet gór śnieżnych, Alp; siadał często na nim, aby stąd obserwować drogi. A kiedy przy pomocy kija wdrapał się już nań, lub też na piec lub krzesło, zdawało mu się, że dostał się na jeden

ze szczytów. Dywan był kontynentem, zaś posadzka—oceanem. Kominek z całą gromadą wazoników, filiżanek i widoczków Liny, były to Chiny i Japonja, kraje porcelany; wielka szafa, stojąca przy ścianie i pełna zabawek, była Paryżem, alkowa zaś — przystanią, a dwa łóżka, Liny i jego — wagonami.

Wieczem, przed snem, imaginacja jego podróżowała z kraju do kraju, ale podróżowanie nie ustawało i we dnie.

Szczęśliwy był, kiedy Lina się z nim bawiła i chciała być konduktorem, dlatego też gromadził całą kolekcję biletów tramwajowych.

II.

Takie i setki podobnych myśli, które zajmowały mały mózg jego, zapełniały opuszczoną samotność dziecięcą. Ojciec wzbudzał w nim strach; gdy głaskał jego ciemną czuprynę, Karolek czuł się jakoś nieswojo. Bełkotał niewyraźnie i trząsł się, kiedy go ojciec o coś zapytywał. Mama była ciągle zajęta sukniami swojemi i córek, nakrywaniem stołów w wielkiej, kryształowej sali, srebrami stołowemi, kwiatami, meblami, które ciągle przestawiano, w zależności od mającej się zjawić liczby gości, i których przesuwanie słyszał Karolek zdaleka, kiedy leżał wieczorem w łóżeczku. Słuchał, zaciekawiony, z wiecznem „dlaczego“ na ustach, ale mama gniewała się nań często i kazała mu wracać do pokoju dziecięcego, mawiając, że się kręci pod nogami albo chodzi służącym po piętach.

Wtedy, płacząc, odchodził; a nie było nikogo, ktoby go pocieszył. W pokoju dziecięcym nie odnajdywał nawet Liny, więc szukał ostatniej ucieczki w kuchni, gdzie kucharka obierała dlań marchewkę, którą zjadał chrupiąc, z pełnem jeszcze sercem doznanej niesprawiedliwości, z ostatniem łkaniem, jeszcze wstrząsającem delikatną jego figurką, z ostatniemi łzami, błyszczącemi na jego bladej twarzy.

III.

Z chwilą, kiedy zamieszkał u nich, po powrocie z zagranicy, wujaszek Frank, młodszy brat mamy, wszystko się zmieniło!

Z początku Karolek bał się i jego. Był on taki duży i silny, ciągle wybuchał śmiechem i mama nie była zadowoloną, kiedy gonił jej córki dokoła stołu, biegał po przedpokoju, po ogrodzie, ażeby je złapać i kiedy przynosił je w ramionach krzyczące, jakby w obawie, że się stłuką.

Bił się z chłopcami, boksował się, jak bokserzy angielscy, których Karolek widział na obrazku; Karolek bał się, że w zamęcie i jemu się kiedyś dostanie porządne uderzenie pięścią.

Ale wujaszek Frank mówił doń tak przyjaźnie, tonem takim rozbawionym, miał w sobie coś tak podniecającego, że czegoś podobnego nie słyszał jeszcze Karolek nigdy.

— Ile masz lat mały człowieczku?

— Siedem lat, proszę pana.

— Co, proszę pana?

— Ach, rozumiem... wuju!

— Siedem lat? A wyglądasz, jakbyś ważył tyle, co piórko; chodź, podniosę cię!

I zanim Karolek zorjentował się, frunął tak wysoko, że aż krzyknął z przerażenia, ale wkrótce krzyk zamienił się w śmiech, bo to było takie zabawne! Mógł jeździć na plecach wuja Franka, zarzucać mu na szyję cienkie, jak zapałki rączęta, a wuj Frank galopował z nim dokoła pokoju, nie zwracając uwagi, że mama krzyczała:

— Ależ Franku, jakiś ty hałaśliwy!

Karolek był zmęczony po tej jeździe konnej, ale twarz mu pałała, a w niebieskich oczach świecił odblask lazuru; buziak jego, zazwyczaj smutny, jaśniał uśmiechem. Wuj Frank opuścił się na fotel, a Karolek wdrapał mu się na kolana.

— Karolku, nie kręć się ciągle koło wuja!

— E, dajcie dziecku spokój, rzucił szorstko wuj Frank; a Karolek bawił się jego dewizką. W końcu ośmielił się zauważyć:

— Wiesz, tyś bardzo zabawny!

Dziewczęta śmiały się z Franka, który trzymał Karolka na kolanach i nic sobie ze śmiechu sióstr nie robił. Karolek zaś nigdy nie czuł się tak pewnym, jak teraz i dziwnie ciepło było mu na sercu; mógłby tak zasnąć koło wuja Franka. I pierwszy raz się zdarzyło, że nie chciał iść spać, kiedy Lina przyszła po niego. Nie wierzono swoim uszom, gdyż zazwyczaj Karolek szedł natychmiast.

— Idźmy spać, mały człowieczku, rzekł wuj Frank, — zdejmując z kolan Karolka.

— A ty prędko przyjdziesz do mnie, wuju?

— Co? Czyś ty oszalał? Czy myślisz, że będę twoją boną? — oburzył się Frank.

Ale był wzruszony prośbą, którą widział w tych niebieskich, niezabudkowych oczach; żal napełnił jego dobre serce, i, nagle, trzymając malca za brodę, rzekł:

— Dobrze, zobaczę, czy będę miał czas, będziesz czekał na mnie?

— A to dopiero cześć dla wuja Franka!— zaśmiała się jedna z panien.

— Lepiejbyś zrobił, gdybyś mi nie psuł chłopca, — powiedziała matka. — On ma szczególny charakter, cichy, zamknięty i zawsze nadąsany!

— On ciągle o czemś myśli, — dodała jedna z córek.

— To nic dziwnego, — odparł Frank szorstko. — Jest on przybity, a nikt się nim nie zajmuje.

Mama zaprotestowała, ale Frank poruszył tylko ramionami.

(d. c. n.)





CHARLES G. D. ROBERTS.

INTRUZ.

Natknąwszy się na skałę podwodną, wielki trójmasztowiec raptownie przechylił się na bok. Tył jego był złamany. Wkrótce i przednia jego część pod naporem wody zaczęła się opuszczać z szumem i sykiem. Dokoła rafy, dokoła tonącego okrętu zwieszała się ołowiana mgła gęsta i nieprzebita, a załoga zimna, jak gdyby obojętna i na wszystko zdecydowana — byli to przeważnie rybacy z Nowego Brunświku — zachowywała się bez zarzutu, przyjmując oschłe rozkazy, które dochodziły do nich, niby głuche wystrzały po przez wrzawę.

W tej chwili mgła się rozwiała, jak rozwiewa się oddech na zwierciadlanej tafli. Tuż, tuż w odległości dwuch mil zamajaczyła ziemia. Brzegi jej obrośnięte były gęstym lasem a u stóp rozpryskiwały się białe fale z głuchym łoskotem ponad pomniejszemi rafami. Kapitan od jednego rzutu oka rozpoznał, że ląd ten jest krańcem południowego brzegu Kanady. Jeszcze pięć minut, a przepełnione czółna pomknęły na wodę i wkrótce z państwa raf tryumfalnie wypłynęły na względnie bezpieczną toń, a zaledwie się to stało, gdy uszkodzony kadłub zanurzył się głębiej i zapadł w toń z wielkim trwożnym jękiem. Fale morskie raz jeszcze zagotowały się z rykiem, a gdy wszystko się uspokoiło, ukazał się łeb i przednie nogi białego konia ze ślepiami wytrzeszczonemi z trwogi, wiodącego zażartą walkę z żywiołem.

Cenne to zwierzę wiezione było z polecenia jednego z pierwszorzędnych domów handlowych z Oporto do Kwebeku.

Gdy parowiec natknął się na skałę i kapitan przejrzał, że los okrętu jest już zdecydowany, polecił odwiązać rasowego hiszpańskiego ogiera, dając mu wolność, a tem samem pozostawiając mu możność walczenia na własną rękę o śmierć i życie.

I czy to dzięki jego zwinności, czy przez szczególną łaskę nieba, dość że z katastrofy wyszedł bez szwanku. Teraz, gdy znalazł się na pełnem morzu, parskając ze strachu i otrząsając sól z rozdętych nozdrzy, na razie był jak gdyby bez świadomości. Po chwili dopiero ogarnął sytuację i zrozumiał, że winien unikać skał, piętrzących się dokoła, starał się więc dać unieść bałwanom w kierunku lądu. Po długiej, bardzo długiej walce i nadzwyczajnych wysiłkach, piękny ogier wydostał się na ziemię. Pijany radością, otrząsnął kopyta swoje, ociekające białą pianą i z nienawiścią obejrzał się na żywioł, który mu tak dokuczył, poczem kłusem popędził doliną, skwapliwie oddalając się od morza.' Wyhodowany na wietrznem i suchem wybrzeżu północnej Hiszpanji, nasz wędrowiec uczuł się ogromnie samotnym wśród ciemnych bezmiarów sosnowych i jodłowych lasów. Czasami jawor w blasku szkarłatów, lub też grupa drzew białej brzozy w lśnieniach północnego złota — przykuwała jego uwagę. Jakkolwiekbądź, acz nieznane, były to wszakże drzewa, nawet i potok miał w sobie coś znajomego. Tylko morza się bał i nienawidził je gwałtownie, a przeświadczenie, że pozostawia wzburzone fale i potężne rafy poza sobą, napełniło go szczęściem i z ochotą zapuszczał się w głąb szumiących borów. Wreszcie dotarłszy do niewielkiej polanki, powstrzymał bieg swój, racząc się słodką trawą.

Koło wieczora, ciężka ołowiana masa chmur zaciemniająca przez cztery dni niebiosa rozwiała się, odsłaniając jasny błękit północy. Słońce opuszczające się ku zachodowi rzucało długie promienie pogodnego światła na wązkie doliny, złocąc powierzchnię łagodnego stawu i zalewając potokami jasnego bronzu zadumane jodły, sosny i cykuty. Ta nagła, a olśniewająca światłość skłoniła białego ogiera do rozpoczęcia na nowo przerwanej podróży. Pędząc też znowu galopem wśród opadów rosy, dotarł do pokrytego trawą ustronia u podnóża stromej skały. Tu otoczony z trzech stron wodą, czuł się bardziej bezpiecznym, aniżeli na łonie lasu i położył się u stóp głazu, chłonąc w siebie blaski przeglądające się w toniach.

Nagle dziwny jakiś głos głuchy i zduszony ozwał się wśród pustej przestrzeni: „Hu, hu, hu, wu, hu, hu!

Ogier zerwał się na równe nogi. Nigdy dotąd jeszcze nie słyszał nawoływań puhacza i zdziwienie jego było usprawiedliwione. Ciągle jeszcze odzywały się głuche dźwięki w ciemnej gęstwinie lasu, a gdy ogier nasłuchiwał uważnie ze ślepiami i nozdrzami szeroko rozwartemi, nietoperz który otarł się o jego słuchy sprawił że podskoczył ze strachu. Lecz złowróżbne tony nie powtórzyły się już więcej, a po kilku chwilach ogier znowu spoczywał, pilnie wpatrując się w przestrzeń. Wreszcie szeroko-skrzydły ptak unoszący się w powietrzu, bezdźwięcznie zatrzepotał skrzydłami i wlepił weń swoje spojrzenie..

(d. c. n.)

POPULARYZACJA WIEDZY

Szkoły przyszłości.

Któż z nas nie przypomina sobie czasów szkolnych, gdy siedząc na ławie znużony i znudzony wodził oczyma po nagich ścianach klasy, pokrytych jednostajnie szaro-białą barwą, nie różniących się niczem od murów klasztornych lub więziennych. Za murami wrzało życie, którego odgłosy przenikały do szkoły. Tam, za murami, słychać było gwar ludzi, turkot wozów, rżenie koni. Tam, za murami, świeciło słońce, szumiały liście drzew, rozpościerał się świat barw i kształtów. Tam wolno ludziom swobodnie się poruszać, oddychać powietrzem ogrodów, skwerów, nawet pól i lasów, przysłuchiwać się świergotowi ptactwa, żywo rozmawiać o tem, co ich istotnie zajmuje, co stanowi treść ich życia. Tu, na tych twardych, ciasnych ławkach, trzeba siedzieć godzinami nieruchomo, zniewalając umysł do zajmowania się tem, co nakazują inni.

Wprawdzie pouczano nas wówczas, że te mury szkolne są przybytkiem nauki, z którą w życiu będziemy mieli do czynienia, że do życia musimy się przygotowywać w szkole, ale wydawało się to nam dziwnem, aby istotnie szkoła nasza mogła mieć coś wspólnego z życiem, które wydawało się nam tak pięknem, tak pełnem ruchu i gwaru, które znaliśmy z domu, jako owiane serdecznem ciepłem rodzinnego ogniska. I szliśmy do tych murów, jak na skazanie, z myślą, aby jaknajprędzej spełnić narzucony, a przykry obowiązek, jaknajprędzej znów się z nich wydobyć i wybiedz z radością w świat rzeczywisty, nie krępujący naszej natury.

W późniejszym c z a s i e bywało w s z k o ł a c h lepiej. Klasy stały się obszerniejsze, jaśniejsze, czystsze, uwzględniające najkonieczniejsze nakazy hygieny, przerwy między wykładami stały się dłuższe nieco, niektóre zbyt silnie krępujące młodzież p r z e p i s y rygoru szkolnego osłabły. A co najważniejsza, metody wykładu niektórych przedmiotów, stały się racjonalniejsze, ułatwiały nabycie nauki i nawet zachęcały do niej. Zwłaszcza w naukach przyrodniczych, w miejsce suchego, nudnego opisu, zapanował t. zw. system poglądowy. Na ścianach szkolnych pojawiły się tablice rysunkowe i obrazy, nieraz nawet kolorowe, nieco urozmaicające ich jednostajność. Niestety, w większości szkół, z powodu nieumiejętnego stosowania owej metody poglądowej, została ona sprowadzona nawet wyłącznie niemal do przynoszenia przez nauczyciela tablic rysunkowych i opowiadania o nich, zamiast o rzeczywistej naturze. Były to zazwyczaj kolorowane obrazki zwierząt i roślin, najczęściej bardzo nędzne, bo dobre tablice poglądowe są przecież kosztowne, szkoły na nie nie stać. W niejednej szkole więc wisiał na ścianie tygrys czy lew czerwono-rudej barwy, stojący z miną wielce zadumaną pod, o niewiele przewyższającą go palmą, mającą liście o barwie zgniłej kapusty; pod nią widać było tegoż koloru kępkę trawy, z kryjącym się wśród niej ponsowym kwiatkiem. Wisiał też jakiś szaro-popielaty ptak, nie wiadomo czy do rodziny orłów, czy do sów należący, siedzący na jakiejś ciemno-bronzowej masie, wyobrażającej prawdopodobnie skałę. Wisiało jeszcze kilka innych podobnych obrazków, odbitych na szaro-żółtym papierze, silnie upstrzonych przez muchy. Wrażenia zmysłowe, zwłaszcza wzrokowe, są w wieku młodzieńczym zazwyczaj bardzo silne i pozostawiają trwałe wspomnienie. Nie dziw, że nawet dziś jeszcze, gdy usłyszę, lub przeczytam wyraz tygrys, staje mi przed oczyma przedewszystkiem czerwono-rude, zadumane zwierzę obok karłowatej, szaro-żółto-zielonej palmy i ponsowego kwiatka, nieznanego botanikom gatunku. Użyć muszę pewnego wysiłku umysłowego, aby to widziadło znikło i ustąpiło miejsca wyobraże-



Lekcja w ogrodzie na świeżem powietrzu.

niu tygrysa takiemu, jakie powziąłem o tem zwierzęciu w czasie późniejszym. Są wprawdzie ludzie przeciwni wogóle zawieszaniu obrazów w klasach szkolnych, nawet obrazów dobrych i wykonanych artystycznie, sądząc, że one odrywają uwagę dzieci. Zapominamy, iż dzieci w wieku przedszkolnym, a nawet i w czasie późniejszym, gdy odrabiają w domu zadania szkolne, otoczone są w mieszkaniu nietylko obrazami, lecz i rozmaitymi innymi przedmiotami, które bynajmniej w pracy umysłowej przeszkody nie stanowią. Firanki i doniczki z kwiatami w oknach, obrazy artystyczne na ścianach, a nawet rzeźby w rogach klasy i korytarza, mogłyby chyba tylko zachęcić dzieci do uczęszczania do szkoły i uprzyjemnić im przebywanie w niej, a zarazem przyczyniałyby się do kształcenia ich poczucia estetycznego. W ten sposób szkoła kształciłaby nie tylko rozum, lecz i uczucie, co tylko na pożytek dzieci wyjść by mogło.

Ale wracając do wykładów szkolnych, zaznaczyć należy, że w ostatnich czasach metody nauczania nauk przyrodniczych uczyniły ważny krok na drodze postępu. Poza obrazkami i tablicami rysunkowemi wprowadzono i pokaz samych przedmiotów nauczania. Wprawdzie okazy, przynoszone przez nauczyciela na wykład, są przeważnie jeszcze martwe: zwierzęta wypchane lub zakonserwowane w spirytusie, czy formalinie, szkielety, zbiorki zasuszonych owadów czy roślin, powoli jednak coraz częściej pojawia się w klasie wraz z nauczycielem młodszym i żywa roślina, a nawet żywy ptak. Co więcej, dla bliższego zetknięcia dzieci z przyrodą, poczęto je raz lub dwa, niekiedy nawet i trzy razy do roku wyprowadzać za miasto, urządzając t. zw. wycieczki przyrodnicze. Tak w nauczaniu o przyrodzie, szkoła w ciągu wieków z trudem i powoli zbliżała się do tej przyrody i dotychczas z nią się naprawdę nie zespoliła.

Taki stan rzeczy nie zadawalnia umysłów gorętszych, które sądzą, że poznawać przyrodę można naprawdę tylko wówczas, gdy się ją ma istotnie przed sobą, gdy się jest nią otoczonym. Ci reformatorzy twierdzą nawet, iż niema właściwie żadnego powodu, dla któregoby nauczanie dzieci nawet i innych przedmiotów, miało się koniecznie odbywać w zamkniętych, a dusznych ścianach, murów szkolnych. Twierdzą oni nawet, iż niema żadnego powodu, dla którego różne przedmioty wykładu szkolnego, zarówno nauk humanistycznych, jak nauki języków, religji, historji, jak i nauk ścisłych, np. matematyki czy nauk przyrodniczych, miały być prowadzone, jak to się odbywa dziś, bez żadnego związku z sobą. Czyżby nie lepiej i zdrowiej dla ciała umysłu i duszy dziecka, dla potrzeb fizycznych młodzieży, dla ich pojęć umysłowych i moralnych, dla porywów duszy młodzieńczej i jej poczucia estetycznego, dla rzeczywistego poznania i zrozumienia otoczenia, dla wzbudzenia miłości do ziemi rodzinnej, do ludzi i do wszystkiego, co żyje, dla poznania kraju i jego dziejów było, aby nauczanie, zwłaszcza w miesiącach wiosennych, letnich i jesiennych odbywało się naprzemian co dni, czy tygodni kilka w ogrodach, parkach i skwerach, nad rzeką czy stawem, w lesie czy na polu i czy opisywanie przez uczących się drzewa z żyjącem na niem ptactwem, wiewiórkami, owadami, lub opisywanie lasu całego czy ogrodu w połączeniu z poznawaniem gleby, nie mogłoby stanowić jednocześnie nauki botaniki, zoologji, mineralogji, nauki języka ojczystego i cudzoziemskiego, naukę rysunków i t. p. w połączeniu nawet z historją i geografją, które wykładane pod szmerem drzew, czy strumyka albo rzeki z rozległym widokiem na otaczający horyzont trafiałyby prędzej i łatwiej, a wymowniej do umysłów i serc dzieci? Czy niektóre wykłady nie mogłyby się odbywać na wolnem powietrzu w piękne wieczory, w które przed oczyma młodzieży rozpościera się daleki, tajemniczy świat ciał niebieskich, świat nieskończoności i wieczności i czy również nie możnaby skorzystać z wieczorów dla pogadanek z historji i geografji za pomocą kinematografu? A więc zupełna reforma szkolna? Tak, reforma i to jedna z najważniejszych Szkoła, stanowiąca najważniejszą dziedzinę działalności ludzkiej, od niej bowiem zależą ideały i organizacja przyszłych pokoleń, reformy wymaga gwałtownie; niestety, ona to właśnie ze wszystkich instytucji społecznych najmniej i najtrudniej reformom się poddaje. Dzisiejsza szkoła jeszcze niewiele różni się swą organizacją od szkół średniowiecznych, typu klasztornego. Czy taka reorganizacja, o jakiej marzą dzisiejsi reformatorzy jest w istocie możliwa, czy nastąpi i kiedy, tego obecnie jeszcze przesądzać nie można. W niektórych miastach niemieckich szkoły prywatne próbują ją już wprowadzić częściowo, zakładając przy szkole ogrody, w których w dnie pogodne odbywają się wykłady wszystkich przedmiotów. Urządzenie klasy na dziedzińcu, czy w ogródku takiej szkoły jest bardzo niewybredne. Na dwuch koziołkach, czy nawet beczkach kładą dzieci deskę i ławka gotowa; na drzewie zawieszają tablicę. Drzewa, otaczające domy i parkany, domowe zwierzęta i t. p. stanowią przedmiot pogadanek językowych i przyrodniczych, stanowią wzory do nauki rysunków i t. d. Z piasku i ziemi usypują wzgórza, doliny, koryta rzek i inne formy powierzchni ziemi, ucząc się w ten sposób geografji i t. d. Jedną z takich lekcji, prowadzonych na dziedzińcu szkolnym przedstawia właśnie nasz rysunek.

Życzyćby wypadało, aby i nasze szkoły próbowały wprowadzać tego rodzaju nauczanie. Może dojdziemy z czasem do typu szkoły idealnej.

M. Heilpern.

WARUNKI PRENUMERATY:

W Warszawie	rocznie rb. 6.—	półr. rb. 3.—	kwart. rb. 1.50
W Królestwie i Cesarstwie z przes. poczt.	„ „ 7.—	„ „ 3.50	„ „ 1.75
Za granicą i za oceanem „	„ „10.—	„ „ 5.—	„ „ 2.50

Za odnoszenie do domu 15 kop. kwartalnie. Numer pojed. kop. 15. Zmiana adresu — 20 k.

Wydaw. „Warszawska Spółka Nakładowa." Redaktor **Feliks Kwaśniewski**. Kierow. liter. Wacław Grubiński.

Druk L. Bilińskiego i W. Maślankiewicza, Nowogrodzka 17.